

ANNA  
GAVALDA

OSTATNI RAZ

Z francuskiego przełożyła  
*Magdalena Krzyżosiak*

  
Świat Książki

Pupa w powietrzu, dłoń na klamce... Nie zdążyłam jeszcze nawet usiąść, a moja bratowa już na mnie napada.

- No, w końcu... Nie słyszałaś, jak trąbiliśmy? Jesteśmy tu już od dziesięciu minut!

- Dzień dobry - odpowiadam.

Mój brat się odwraca. Oczko.

- Wszystko gra, ślicznotko?

- Gra.

- Schować twoje rzeczy do bagażnika?

- Nie, dzięki. Mam tylko tę małą torbę i sukienkę... Położę ją z tyłu.

- To twoja sukienka? - pyta Carine, unosząc brwi, kiedy dostrzega zwinięty w kulkę szyfon na moich kolanach.

- Tak.

- Co... co to jest?

- Sari.

- No, widzę...
- Nie, nie widzisz - zauważam grzecznie. - Zobaczysz, jak założę.

Grymasik.

- Możemy jechać? - pyta mój brat.
- Tak. Chociaż... Mógłbyś zatrzymać się koło Araba na końcu ulicy? Muszę coś odebrać...

Moja bratowa wzdycha ciężko.

- Czego ci jeszcze brakuje?
- Wosku do depilacji.
- I kupujesz go u Araba?
- Oj, wszystko kupuję u mojego Rachida! Wszystko, wszystko, wszystko!

Nie wierzy mi.

- Już dobrze? Możemy jechać?
- Tak.
- Nie zapinasz pasów?
- Nie.
- Dlaczego nie zapinasz pasów?
- Klaustrofobia - odpowiadam.

Zanim Carine zacznie swoją śpiewkę na temat odrzuconych przeszczepów i szpitala w Garches, dodaję:

- Poza tym chcę się zdrzemnąć. Jestem wykończona.

Mój brat się uśmiecha.

- Dopiero co wstałaś?
- Nie kładłam się - uściślam, ziewając.

To oczywiście nieprawda. Spałam kilka godzin, ale chcę wkurzyć moją bratową. I to mi się udaje. Zawsze się udaje. To w niej lubię - zawsze się udaje.

- Gdzie znowu byłaś? - zrzędzi, wznosząc oczy do nieba.

- W domu.
- Robiłaś imprezę?
- Nie, grałam w karty.
- W karty?!
- Tak. W pokera.

Potrząsa głową. Nie za mocno. Rozchodzi się zapach lakieru do włosów.

- Ile przegrałaś? - podśmiewa się mój brat.
- Nic. Tym razem wygrałam.

Zapada cisza.

- Można wiedzieć ile? - Carine nie wytrzymuje w końcu i pyta mnie, poprawiając okulary przeciwsłoneczne.

- Trzy tysiące.
- Trzy tysiące! Trzy tysiące czego?
- No... euro - kończę naiwnie. - Nie będziemy się przecież chrzanić z rublami...

Chichotałam, zwijając się w kłębek. To mi się udało! Mojej małej Carine starczy na całą podróż...

Słyszałam, jak w jej mózgu zaczynają uruchamiać się zębatki:

Trzy tysiące euro... Tik-tik-tik... Ile musiałaby sprzedać suchych szamponów i tabletek aspiryny, żeby zarobić trzy tysiące euro... ? Tik-tik-tik... Plus opłaty, plus podatek od działalności, plus podatek gruntowy, plus wynajem, i minus VAT... Ile razy musiałaby włożyć biały fartuch, żeby zarobić trzy tysiące euro netto? A CSG\*... Osiem i dwa w pamięci... A płatne urlopy... dziesięć razy trzy... Tik-tik-tik...

Tak, szydziłam sobie z niej, kołysana pomrukiem silnika, z nosem w zgięciu łokcia i z kolanami podciągniętymi pod brodę. Byłam dumna z siebie, bo moja bratowa to cała historia.

Moja bratowa Carine skończyła farmację, ale woli, żeby mówić „medycynę”, więc jest farmaceutką, ale woli, żeby mówić „farmaceutą”, ma aptekę, ale woli, żeby mówić „laboratorium”.

Lubi przy deserze narzekać na księgowość i nosi fartuch chirurgiczny zapinany aż po brodę, a także termoprzylepną tabliczkę, na której pomiędzy dwoma

\* Contribution Sociale Generalisee - odpowiednik polskiego ZUS. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

niebieskimi kaduceuszami wypisane jest jej nazwisko. Sprzedaje teraz głównie kremy ujędrniające pośladki i żelowe tabletki z karotenem, bo to bardziej opłacalne. Woli jednak mówić, że zoptymalizowała swój dział *para*.

Moja bratowa Carine jest dość przewidywalna.

Kiedy wraz z moją siostrą Lolą zwęszyłyśmy okazję, dowiedziawszy się, że mamy w rodzinie dostawcę kremów antymarszczkowych, depozytariusza Clinique i sprzedawcę Guerlaina, rzuciłyśmy się na nią jak uradowane szczeniaki. O, jakie piękne zgotowałyśmy jej powitanie! Obiecałyśmy, że odtąd zawsze będziemy chodzić do niej na zakupy, i byłyśmy nawet gotowe przyznać jej tytuł doktora albo profesora Lariot-Molinoux, żeby tylko polubiła nas na dobre.

Byłyśmy niemalże gotowe pojechać pociągiem RER, żeby się z nią zobaczyć! A to nie lada wyczyn dla mnie i Loli pojechać aż do Poissy.

Cierpimy, kiedy znajdziemy się poza bulwarami Marechaux...

Nie musiałyśmy jednak nigdzie jechać, bo pod koniec pierwszego niedzielnego obiadu wzięła nas pod rękę i spuszczać wzrok, wyznała:

- Wiecie... yyy... Nie będę mogła dawać wam zniżek, bo... yyy... Jeśli raz zacznę, to potem... No,

rozumiecie... Potem... potem już nie wiadomo, jak daleko to zajdzie, prawda?

- Nic, zupełnie nic? - zapytała Lola, śmiejąc się. - A próbki?

- Ależ tak - odpowiedziała Carine, wzdychając z ulgą. - Tak, próbki owszem. Nie ma problemu.

Kiedy odeszła, ściskając naszego brata za rękę, chyba po to, żeby nie odleciał, Lola mruknęła, przesyłając im buziaki z balkonu:

- No tak, próbki to może sobie wsadzić wiadomo gdzie.

Całkowicie się z nią zgadzałam, więc strzepnęłyśmy obrus, rozmawiając już o czymś innym.

Teraz oczywiście uwielbiamy robić z niej głupa. Za każdym razem, kiedy ją widzę, opowiadam o swojej koleżance Sandrine, która jest stewardesą, i o zniżkach, jakie nam załatwia dzięki duty-free.

Przykład:

- Ej, Carine... Podaj cenę peelingu Double Generateur d'Azote z witaminą B12 od Estee Lauder.

Zapada cisza. Carine długo się zastanawia. Koncentrując się, zamyka oczy. Myśli o swoich wykazach, oblicza marżę, odejmuje podatek i w końcu strzela:

- Czterdzieści pięć?

Odwracam się w stronę Loli.

- Pamiętasz, ile zapłaciłaś?

- Co... ? O czym mówicie?

- Twój peeling Double Generateur d'Azote z witaminą B12 od Estee Lauder, który Sandrine przywiozła ci niedawno.

- No i co?

- Ile za niego zapłaciłaś?

- Oj, ale pytania zadajesz... Jakieś dwadzieścia euro, o ile dobrze pamiętam.

Carine powtarza, dusząc się:

- Dwadzieścia euro! Peeling DE-GIE-A z witaminą B12 od Lauder! Jesteś pewna?

- Tak sędzę...

- No nie! Za taką cenę to musi być podróbka! Sorry, ale dałyście się zrobić, dziewczyny... Włożyli krem Nivea do podrobionego flakonu, oszukali was. Przykro mi o tym mówić - rozpromienia się triumfalnie. - Ale to bubel!

Lola robi minę pełną przygnębienia.

- Jesteś pewna?

- Absoluutnie pewna. Przecież znam koszty produkcji! Używają tylko olejków esencjonalnych w kosmetykach Lau...

Przyszedł moment, kiedy odwracam się do siostry, pytając:

- Nie masz go gdzieś pod ręką?

- Czego?

- No kremu...

- Chyba nie... Zaraz! Może mam... Czekaście, zobaczę w torbie.



Wyciąga flakon i podaje go naszej ekspertce.

Ona wkłada półksiężycowate okulary i ze wszystkich stron ogląda dowód zbrodni. Obserwujemy ją w wielkim skupieniu, wpatrzone w jej wargi i lekko przestraszone.

- I jak, pani doktor? - Lola zdobywa się wreszcie na odwagę.

- Owszem, owszem, rzeczywiście Lauder... Poznają zapach... Poza tym tekstura... Lauder ma szczególną teksturę. To niewiarygodne... Ile, mówisz, że zapłaciłaś? Dwadzieścia euro? To niewiarygodne - wzdycha Carine, chowając okulary w etui, etui w torebkę Biotherm, a torebkę Biotherm do torebki Tod's. - Niewiarygodne... To cena konkurencyjna. Jak mamy sobie poradzić, jeśli oni tak niszczą rynek? To po prostu nieuczciwa konkurencja. To... Nie ma marży, więc... Nieważne. To mnie deprymuje, weź ten flakon...

I pogrążona w otchłani zakłopotania, pociesza się, mieszając długo słodzik na dnie filiżanki z kawą bez kofeiny.

Najtrudniej zachować zimną krew do czasu, aż znajdziemy się w kuchni, ale kiedy już tam jesteśmy, zaczynamy gdakać jak gęsi. Jeśli mama akurat przechodzi, martwi się:

- Ależ wy obie potraficie być okropne...

Lola odpowiada rozdrażniona:

- O, pardon... Przecież to cholera kosztowało mnie siedemdziesiąt dwa euro!

Potem znów parskamy, opierając się o zmywarę.

- Dobrze, więc dzięki temu, co dziś w nocy wygrałaś, mogłabyś choć raz dołożyć się do benzyny...

- Do benzyny i do opłaty za autostradę - mówię, drapiąc się w nos.

Nie widzę, ale zgaduję, że uśmiecha się, zadowolona, z rękoma ułożonymi grzecznie na złączonych kolanach.

Wyginam się, żeby wyjąć z kieszeni dzinsów banknot.

- Daj spokój - mówi mój brat.

Carine popiskuje:

- Ale... Simonie, nie wiem dlaczego...

- Powiedziałem, daj spokój - powtarza mój brat, nie podnosząc głosu.

Carine otwiera usta, zamyka, znowu otwiera, strzepuje jakiś niewidzialny pyłek z uda, dotyka pierścionka z szafirem, przekręca go równiutko, ogląda paznokcie, już chce coś powiedzieć... Ale rezygnuje.

Atmosfera staje się napięta. Jeśli Carine się nie odezwie, będzie to oznaczało, że sobie nawymyślali, że mój brat podniósł głos.

To takie rzadkie...

Mój brat nigdy się nie denerwuje, nigdy nie mówi

o nikim źle, nie wie, co to brak życzliwości, i nie ocenia swego bliźniego. Mój brat jest z innej planety. Może z Wenus...

Uwielbiamy go.

- Jak ty to robisz, że jesteś taki spokojny?

Wzrusza ramionami.

- Nie wiem.

Pytamy go jeszcze:

- Nigdy nie miałeś ochoty trochę sobie popofolgować, powiedzieć czegoś wrednego i złośliwego?

- Ależ od tego mam was, moje piękne... - odpowiada z anielskim uśmiechem.

Tak, uwielbiamy go. Wszyscy zresztą go uwielbiają. Nasze nianie, jego nauczycielki, profesorowie, koledzy z biura, sąsiedzi... Wszyscy.

Gdy byłyśmy małe, leżałyśmy czasami na wykładzinie w jego pokoju i słuchałyśmy płyt, lustrując go spojrzeniem, kiedy odrabiał nasze prace domowe. Bawiłyśmy się, wyobrażając sobie naszą przyszłość. Przepowiadałyśmy mu:

- Jesteś taki uprzejmy, że pewnie dasz się omotać jakiejś nudziarce.

Bingo.

Jestem w stanie wyobrazić sobie, dlaczego się pokłócili. Prawdopodobnie z mojego powodu. Mogłabym odtworzyć ich rozmowę niemalże co do słowa.

Wczoraj po południu zapytałam brata, czy może mnie zabrać.

- Co za pytanie! - zachnął się uprzejmie do słuchawki.

Potem maruda pewnie nie wytrzymała. Przecież to zmuszało ich do nadłożenia drogi. Mój brat pewnie wrzucił ramionami, a Carine zaczęła powtarzać w kółko: „No, kochanie... jeśli jedziemy do Limousin... plac Clichy to nie jest droga na skrót, o ile mi wiadomo...”.

Z pewnością zmusił się do pozostania stanowczym, położyli się obrażeni, a ona spędziła tę noc w hotelu Pod Odwróconym Tyłkiem.

Wstała w złym humorze. Powtórzyła znad swojej biocykorii: „Mimo wszystko twoja leniwa siostra mogła wstać i przyjechać do nas... Przecież to chyba nie praca ją tak wyczerpuje, czyż nie?”.

Nie odpowiedział. Studiował mapę.

Carine poszła narzekać do łazienki Kaufman & Broad. (Pamiętam naszą pierwszą wizytę. W fiołkowo-różowym szaliczku, owiniętym wokół szyi, lawirowała między swoimi roślinami zielonymi i komentowała swój mały Wersal, szczebiocząc: „Kuchnia... funkcjonalna. Tutaj jadalnia... z miłą atmosferą. Tu salon... ustawny. Tu pokój Leo... zabawny. Tu pralnia... nie-

odzowna. Tu łazienka... podwójna. Tu nasza sypialnia... jasna. Tu... ". Mieliśmy wrażenie, że chce nam to wszystko sprzedać. Simon odprowadził nas aż na dworzec, gdzie w chwili pożegnania powiedziałyśmy mu raz jeszcze: „Twój dom jest piękny”. „Tak, jest funkcjonalny” - powtórzył, przytakując ruchem głowy. Ani Lola, ani Vincent, ani ja nie powiedzieliśmy nawet pół słowa w drodze powrotnej. Wszyscy, trochę smutni i wciśnięci w swoje fotele, rozmyślaliśmy chyba o tym samym. Że straciliśmy starszego brata i że życie bez niego będzie o wiele trudniejsze...). Potem Carine pewnie spojrzała na zegarek przynajmniej dziesięć razy w drodze z rezydencji do mojego bulwaru, jęczała na każdych światłach, a kiedy w końcu zatrąbiła - bo jestem pewna, że to ona zatrąbiła - ja nie usłyszałam.

Porażka, porażka, porażka.

Mój Simonie, przykro mi, że przeze mnie musisz znosić to wszystko...

Następnym razem zorganizuję się inaczej - obiecuję.

Będę sobie lepiej radziła. Będę się wcześniej kładła. Nie będę piła. Nie będę grała w karty.

Następnym razem... Ustabilizuję się, wiesz przecież. Ależ owszem. Znajdę sobie kogoś. Białego. Jedynaka. Takiego, który ma prawo jazdy i toyotę na biopaliwo.

Wyhaczę sobie takiego, który pracuje na poczcie, ponieważ jego tata pracuje na poczcie, który haruje dwadzieścia dziewięć godzin na dobę i nie jest od tego chory. I niepalącego. Tak zaznaczyłam na moim profilu na portalu randkowym. Nie wierzysz mi? No to zobaczysz. I czego się cieszysz, idioto?

Dzięki niemu nie będę ci już robiła kłopotu w sobotę rano, prosząc, żebyśmy pojechali na wieś. Powiem mojemu misiaczkowi z urzędu pocztowego: „Misiaczkule! Zawieziesz mnie na ślub mojej kuzynki? Masz przecież GPS, który obsługuje nawet Korsykę i Dom-Tom”. I już! Sprawa załatwiona.

Dlaczego się głupkowato śmiejesz? Myślisz, że nie jestem dość przebiegła, by zrobić tak jak inne? Podłapać miłego chłopaka w żółtej kamizelce z samoprzylepną wizytówką? Narzeczonego, któremu w przerwie obiadowej pójde kupić kalesony Celio? O tak... Nic, tylko o tym myśleć, i już się wzruszam. Dobrego osiołka. Kwadratowego. Prostego. Zaopatrzonego w baterie i książeczkę oszczędnościową.

Który nigdy nie będzie się wkurzał. I będzie myślał tylko o porównywaniu cen na półkach z tymi w katalogu, i który powie: „Nie ma co się kręcić, kochanie. Różnica między Castoramą a Leroy Merlin to tylko kwestia obsługi”.

I zawsze będziemy wchodzić przez piwnicę, żeby nie zabrudzić schodów. I będziemy się przyjaźnili z sąsiadami, bez wątplenia nadzwyczaj sympatycznymi.

I będziemy mieli stabilny grill, a to szczęście dla dzieci, bo dzięki temu na działce będzie bezpiecznie, jak mówi moja bratowa, i...

O, szczęście!

To zbyt okropne. Zasnęłam.



Wróciłam do rzeczywistości na parkingu stacji benzynowej niedaleko Orleanu. Byłam w stanie otępienia. Zaspana i rozlazła. Z trudem otworzyłam oczy, a włosy zdawały mi się zaskakująco ciężkie. Nawet ich dotknęłam, żeby sprawdzić, czy to na pewno włosy.

Simon czekał przy kasie. Carine się pudrowała.

Co najmniej trzydzieści sekund zabrało mi, zanim się zorientowałam, że mogę już zabrać kubeczek z kawą z automatu. Piłam bez cukru i bez przekonania. Chyba pomyliłam guziki. Jakies takie pomidorowe to cappuccino, nie?

Bum! Dzień zapowiadał się długi.

Wsiedliśmy z powrotem do samochodu, nie zamieniając słów. Carine wyjęła ze swojego kuferka na kosmetyki chusteczkę bez alkoholu, żeby wytrzeć ręce.

Carine zawsze odkaża sobie ręce, kiedy wychodzi z miejsca publicznego.

To kwestia higieny.

Carine widzi mikroby.

Widzi ich małe włochate łapki i okropne paszcze.

To dlatego nigdy nie jeździ metrem. Pociągów też nie lubi. Nie może się powstrzymać od myślenia o ludziach, którzy kładą stopy na siedzeniach i przyklejają smarki pod podłokietnik.

Zabrania dzieciom siadać na ławkach i dotykać poręczy schodów. Niechętnie zabiera je na plac zabaw. Niechętnie pozwala im wchodzić na zjeżdżalnię. Darczy niechęcią tace z McDonalda i wielką niechęcią wymienianie się kartami z pokemonami. Nie lubi sklepów wędliniarskich, gdzie sprzedawca nie zakłada rękawiczek, ani sprzedawczyń, które nie mają szczypczyków do podawania croissantów. Cierpi z powodu wspólnych posiłków w szkole i ćwiczeń w basenie, gdzie dzieci podają sobie ręce i wymieniają się grzybami.

Życie to wyczerpujące zajęcie.

Mnie te jej chusteczki dezynfekujące żenują.

Wieczne postrzeganie innych jako worka z mikro-bami. Wieczne zwracanie uwagi na paznokcie, kiedy podaje rękę. Wieczny niepokój. Wieczne zasłanianie się szalikiem. Wieczne strofowanie dzieci.

Nie dotykaj. Brudne.

Zabierz stamtąd ręce.

Nie dziel się.



Nie chodź na ulicę.

Nie siadaj na ziemi, bo dostaniesz w tyłek!

Wieczne mycie rąk. Wieczne mycie buzi. Wieczne sikanie z zachowywaniem równowagi dziesięć centymetrów nad muszlą oraz całowanie bez dotykania ustami. Wieczne ocenianie matek po kolorze uszu ich maluchów.

Wieczne.

Wieczne ocenianie.

Trochę to śmierdzi. A tak w ogóle to rodzina Carine szybko się otworzyła podczas pewnego posiłku. Zaczęli mówić o Arabach. Ojciec Carine nazywa ich Arabusami.

Mówi: „Płacę podatki, żeby Arabusy narobiły po dziesięcioro dzieci”. A także: „Wsadziłbym na statek to robactwo i storpedował...”.

Lubi też mówić: „Francja to kraj ludzi na zasiłku i dobrych w niczym. Wszyscy Francuzi to durnie”.

Często kończy swe wypowiedzi następująco: „Pierwszych sześć miesięcy w roku mam pracować na rodzinę, a sześć następnych dla państwa, żeby mi nie mówiono o biednych i bezrobotnych?! Połowę dni w roku pracuję po to, żeby Mamadou mógł zapłodnić dziesięć swoich czarnuch, a mówi mi się o moralności!”.

Wspominam czasami pewien szczególny obiad, choć nie lubię o tym myśleć. Były chrzciny małej Alice. Zebraliśmy się u rodziny Carine niedaleko Mans.

Jej ojciec jest kierownikiem Casino (tej firmy od groszku w puszcze, nie kasyna) i kiedy zobaczyłam go na końcu brukowanej ścieżki w ogrodzie, między kutą latarnią a pięknym audi, naprawdę zrozumiałam znaczenie słowa „pozer”. To połączenie głupoty i arogancji. Niezachwiane zadowolenie z siebie. Błękitny kaszmir na wielkim brzuchu i dziwaczny, jakże serdeczny sposób powitania, kiedy i tak już cię nie znosi.

Wstydzę się, myśląc o tym obiedzie. Wstydzę się, i nie jestem jedyna. Lola i Vincent też nie są dumni, jak sądzę...

Simona nie było, kiedy rozmowa zeszła na niższy poziom. Poszedł do ogrodu, gdzie budował szałas dla syna. Musiał się już przyzwyczaić. Wie, że lepiej się oddalić, kiedy wielki Jacquot zaczyna się obnażać.

Simon jest taki jak my: nie lubi sprzeczek pod koniec przyjęcia, obawia się ich i ucieka. Uważa, że to źle spożytkowana energia, i że trzeba zachować siły na ciekawsze starcia, bo sprzeczka z ludźmi takimi jak jego teść to bitwa z góry przegrana.

A kiedy mówi mu się o wzroście poparcia dla

skrajnej prawicy, kręci głową: „To muł na dnie jeziora. To konieczne, ludzkie. Nie dotykajmy go, żeby nie wypłynął na powierzchnię”.

Jak znosi te rodzinne obiady? Jak on to robi, że jest w stanie pomóc teściowi w przycięciu żywopłotu?

Myśli o szafasach dla Leo.

Myśli o chwili, kiedy weźmie swojego małego chłopca za rękę i oddali się od domu.

Wstydzę się, bo tamtego dnia ponieśliśmy klęskę.

Znowu ponieśliśmy klęskę. Nie zareagowaliśmy na słowa tego wściekłego sprzedawcy warzyw, który nigdy nie patrzy dalej niż na koniec własnego nosa.

Nie sprzeciwiliśmy się mu. Nie wstaliśmy od stołu. Nadal przeżuwaliliśmy powoli każdy kęs, zadowolając się myśleniem, jaki z niego kawał chama. Robiliśmy dobrą minę do złej gry i staraliśmy się okryć strzępkami godności.

Biedni my. Tacy tchórzliwi, tacy tchórzliwi...

Dlaczego wszyscy czworo tacy jesteśmy? Dlaczego ludzie, którzy krzyczą głośniejsz niż inni, wywierają na nas wrażenie? Dlaczego ludzie agresywni pozbawiają nas możliwości obrony? Co z nami jest nie tak? Gdzie kończy się dobre wychowanie, a zaczyna słabość?

Często o tym rozmawialiśmy. Mocno biliśmy się w piersi nad resztką pizzy i popielniczką zrobioną z butelki. Nie potrzebujemy nikogo, kto by nas karcił. Jesteśmy wystarczająco dorośli, żeby pochylić czoło, i niezależnie od liczby pustych butelek zawsze dochodzimy do tego samego wniosku. Że jeśli jesteśmy tacy cisi i zdeterminowani, ale bezsilni w zetknięciu z chammami, to dlatego, że nie mamy w sobie krzty pewności siebie. Nie lubimy się. Nie personalnie, rzecz jasna. Nie czujemy się ważni.

Nie na tyle w każdym razie, żeby opluć kamizelkę ojca Molinoux. Nie na tyle, by sądzić, że nasze rozdzierające krzyki mogłyby nagiąć linię jego myśli. Nie na tyle, by mieć nadzieję, że nasze ruchy pełne niesmaku, serwetki rzucane na stół i wywrócone krzesła mogłyby w jakikolwiek sposób zmienić bieg świata.

Co by pomyślał ten dzielny podatnik, widząc, że zachowujemy się w ten sposób i z wysoko podniesioną głową opuszczamy jego domostwo? Powtarzałby swojej żonie przez cały wieczór:

„Co za dupki! Nie, no co za dupki! Nie, no na prawdę, co za dupki...”.

Po co skazywać tę biedną kobietę na coś takiego? Kimże jesteśmy, żeby psuć dwudziestoosobowe przyjęcie?

Można myśleć, że to nie tchórzostwo. Można uznać, że to mądrość, że umiemy nabrać dystansu. Że

nie lubimy babrać się w gównie. Że jesteśmy bardziej uczciwi niż wszyscy ci ludzie, którzy nieustannie leją wodę, a niczego nie nawadniają.

Tak, w ten sposób się pocieszamy. Powtarzając sobie, że jesteśmy młodzi, ale już bardzo przenikliwi. Że znajdujemy się kilkaset metrów nad mrowiskiem i że głupota nie dotyka nas bardzo. Kpimy sobie z niej. Mamy co innego. Mamy siebie. Jesteśmy bogaci inaczej.

Wystarczy zajrzeć w głąb.

W naszych głowach jest pełno. Pełno różnych rzeczy bardzo odległych od tych rasistowskich pomruków. Jest muzyka i są pisarze. Drogi, dłonie, kryjówki. Malutkie spadające gwiazdy na kwitkach z bankomatów, powyrywane kartki, wspomnienia szczęśliwe i wstydlive. Piosenki, refreny na końcu języka. Zarchiwizowane wiadomości, książki cegły, ślazowe misie i porysowane płyty. Nasze dzieciństwo, nasze samotności, nasze pierwsze wzruszenia i nasze plany na przyszłość. Te wszystkie godziny stania na czatach i pilnowania drzwi. Sztuczki Bustera Keatona. List Armanda Robina do gestapo i baran z chmur Michela Leirisa\*. Scena, w której Clint Eastwood odwraca się i mówi: *Oh... and don't kid yourself Francesca...* i ta, w której Nicola Carati wspiera swoich

\* Z wiersza pt. *Lena*.

torturowanych pacjentów na procesie ich kata. Zabawy w Villiers 14 lipca. Zapach pigw w piwnicy. Nasi dziadkowie, szabla pana Racine'a, jego lśniący zbroja\*, nasze fantazje prowincjuszy i nasze wieczory poprzedzające egzaminy. Płaszcz przeciwdeszczowy Mam'zelle Jeanne, kiedy wsiada z Gastonem na motor. *Pasażerowie wiatru* Francois Bourgeona i pierwsze linijki książki Andre Gorza dla żony, które Lola czytała mi wczoraj wieczorem przez telefon, kiedy przez godzinę psioczyłyśmy na miłość. *Niedługo skończysz osiemdziesiąt dwa lata. Zmniejszyłaś się o sześć centymetrów, ważysz zaledwie czterdzieści pięć kilogramów, a jesteś nadal piękna, pełna wdzięku i budzisz pożądanie.* Marcello Mastroianni w filmie *Oczy czarne* i sukienki Balenciagi. Zapach kurzu i suchego chleba dla koni wieczorem, kiedy wysiadałyśmy z autokaru. Państwo Lalanne w swoich pracowniach oddzielonych ogrodem. Noc, kiedy pomalowałyśmy ulicę Vertus, i inna, kiedy wrzuciłyśmy skórę śledzia pod taras restauracji, gdzie pracował ten skończony osioł Patelnia Tefal. I ta podróż, kiedy leżałyśmy na kartonach z tyłu ciężarówki, a Vincent czytał nam *L'Etabli* na głos. Głowa Simona, kiedy po raz pierwszy w życiu usłyszał Björk i Monteverdiego na parkingu przed Macumbą.

\* Aluzja do książki Tomiego Ungera *La grosse bete de monsieur Racine*.

Te wszystkie głupoty, te wszystkie wyrzuty sumienia i bańki mydlane na pogrzebie ojca chrzestnego Loli...

Nasze stracone miłości, nasze podarte listy i nasi przyjaciele przy telefonie. Te pamiętne noce, ta mania ciągłego przestawiania wszystkiego i ten albo tamta, potrącenie, gdy biegniemy do autobusu, który na nas nie zaczekał.

To wszystko i jeszcze więcej.

Dość, żeby nie zepsuć duszy.

Dość, żeby nie starać się dyskutować z idiotami.

Niech zdechną.

I tak zdechną.

Zdechną, kiedy my będziemy w kinie.

Oto co się mówi, by się pocieszyć, że tamtego dnia nie wstało się od stołu.

Pamiętamy, że to wszystko, ta widoczna obojętność, ta dyskrecja, również ta słabość, to wina naszych rodziców.

To przez nich albo dzięki nim.

Bo to oni nauczyli nas czytania książek i słuchania muzyki. To oni mówili nam o innych sprawach i zmuszali nas do patrzenia inaczej. Wyżej, dalej. Ale to również oni zapomnieli dać nam pewność siebie. Myśleli, że to przyjdzie samo. Że mamy trochę talentu

do życia, a komplementy tylko rozbuchałyby nasze ego.

Pomyłka.

Tak się nie stało.

A teraz jesteśmy właśnie tacy. Szlachetni nieudacznicy. Milczący wobec narwańców, z niezaistniałymi wybuchami złości i lekkimi mdłościami.

Może za dużo słodkiego...

Pamiętam, jak któregoś dnia, kiedy byliśmy z rodziną na plaży niedaleko Hossegor - to rzadkość, żebyśmy byli gdzieś całą rodziną, bo Rodzina przez duże R to nigdy tak naprawdę nie było dla nas - nasz Pop (tata nie chciał, żebyśmy nazywali go tatą, a kiedy ludzie dziwili się, odpowiadaliśmy, że to z powodu maja 1968. Bardzo nam się podobało to wyjaśnienie. „Maj 1968” to było jak sekretny kod, tak jakbyśmy mówili: „To dlatego, że pochodzi z planety Zorg”), a więc nasz Pop podniósł wtedy nos znad książki i powiedział:

- Dzieci, widzicie tę plażę?

(Srebrne Wybrzeże, wyobrażacie sobie taką plażę?).

- Wiecie, czym jesteście we wszechświecie?

(Tak! Dzieciakami pozbawianymi pączków sprzedawanych na plaży).

- Jesteście takim ziarnkiem piasku. Tylko takim ziarnkiem. Niczym więcej.



Uwierzyliśmy mu.

Nasza strata.

- Co tak śmierdzi? - niepokoi się Carine.

Właśnie rozsmarowywałam klajster od madame Rachid na nogach.

- Co to jest to coś?!

- Nie wiem. Sądzę, że miód albo karmel połączony z woskiem i przyprawami...

- Co za koszmar! To obrzydliwe. Musisz robić to w samochodzie?

- Muszę... Nie pójdę tam tak. Powiedzieliby, że jestem yeti.

Moja bratowa odwraca się, wzdychając.

- Tylko uważaj na fotele... Simon, wyłącz klimę, żeby mogła otworzyć okno - dodaje.

- Proszę - dorzucam przez zęby.

Madame Rachid zapakowała klajster w wilgotny materiał. „Przyjdź do mnie jeszcze. Przyjdź, to się tobą zajmę. Zajmę się twoim ogródkiem miłości. Zobaczysz, jak zareaguje twój facet, kiedy cię od tego wszystkiego uwolnię. Zwariuje. Będziesz mogła prosić go, o co zechcesz...” - zapewniła.

Uśmiechałam się. Nie za szeroko. Właśnie robiłam płamę na oparciu i żonglowałam teraz papierową chusteczką. Co za bajzel!

- Ubierzesz się też w samochodzie?
- Zatrzymamy się trochę wcześniej... Co, Simone? Znajdziesz mi jakąś dróżkę?
- Pachnącą orzeszkami laskowymi?
- Mam nadzieję!

- A Lola? - pyta Carine.

- Co Lola?

- Będzie?

- Nie wiem.

- Nie wiesz? - Carine podskoczyła.

- Nie wiem.

- Nie do wiary... Z wami nigdy nic nie wiadomo. Zawsze to samo. Zawsze wielki nieład artystyczny. Nie mogłybyście się trochę zorganizować od czasu do czasu? Chociaż w minimalnym stopniu?

- Rozmawiałam z nią wczoraj przez telefon - powiedziałam oschle. - Nie była w formie. Nie wiedziała jeszcze, czy przyjedzie.

- Zdziwiasz mnie...

Och, ależ nie lubię tego pobłażliwego tonu!

- Co cię zdziwia? - mruknęłam.

- A tam! Nic. Z wami już nic mnie nie dziwi! Jeśli Lola jest w marnym stanie, to z własnej winy. Tego przecież chciała, czyż nie? Ma umiejętności do wpędzania się w niemożliwą katorgę. Nie chcemy...

Widziałam w lusterku, że czoło Simona zaczyna się marszczyć.

- Co ja o tym sądzę?

Tak, właśnie. Co ty o tym sądzisz.

- Problem z Lo...

- Stop! - wybucham niespodziewanie. - Stop. Nie wyspałam się... Innym razem.

Carine przybiera zmęczony wyraz twarzy.

- W każdym razie nie można nigdy nic powiedzieć w tej rodzinie. Gdy tylko zrobi się byle uwagę, pozostała trójka rzuca się na ciebie i przykłada ci nóż do gardła. To śmieszne.

Simon szuka mojego wzroku.

- To cię śmieszny? To was oboje śmieszny! Przesadzacie. To dziecinne. Można chyba mieć swoje zdanie? Czy też nie...? Skoro nie chcecie niczego słuchać, nie można nic powiedzieć, skoro nikt nigdy nic nie mówi, jesteście nietykalni. Nigdy się nad sobą nie zastanawiacie. Zaraz wam powiem, co o tym sądzę...

Mamy gdzieś, co ty o tym sądzisz, moja droga!

- Sądzę, że taki protekcyjizm, takie blokowanie i denerwowanie kogoś nie służy wam. To absolutnie nie jest konstruktywne.

- A co jest konstruktywne na tym świecie, moja Carinko?

- O! Jeszcze i to. Litości! Przestańcie choć na chwilę uprawiać filozofię rozczarowanego Sokratesa. W waszym wieku to stanowczo zbyt patetyczne. Skończyłaś już ze swoim klajstrem? Bo to naprawdę paskudne...

- Tak, tak... - zapewniam, zwijając wosk w kulkę na moich białych łydkach. - Już prawie.

- Nie nakładasz kremu? Twoje pory przeżyły szok, musisz je natychmiast nawilżyć, bo w przeciwnym razie będziesz miała nogi w czerwone kropki aż do jutra.

- Kurczę, nic nie wzięłam...

- Nie masz kremu ochronnego?

- Nie.

- Ani kremu na dzień?

- Nie.

- Ani na noc?

- Nie.

- Nie masz nic?

Była przerażona.

- Owszem. Mam szczoteczkę do zębów, pastę, perfumy Guerlain L'Heure Bleue, prezerwatywy, tusz do rzęs i pomadkę.

Była przybita.

- To wszystko, co masz w kosmetyczce?

- Yyy... w torbie. Nie mam kosmetyczki.

Westchnęła, zaczęła grzebać w swoim kufierku na kosmetyki i podała mi dużą białą tubę.

- Masz, nałóż chociaż to...

Podziękowałam ze szczerym uśmiechem. Poczula się zadowolona. Jest superwkurzająca, ale lubi sprawiać przyjemność. Można przyznać, że ma chociaż tę zaletę...

A poza tym nie lubi zostawiać porów w szoku. To jej łamie serce.

Po chwili dodała:

- Garance?

- Taak?

- Wiesz, co uważam za głęboko niesprawiedliwe?

- Marzę firmy Marionn...

- Że i tak będziesz ładnie wyglądać. Z odrobiną błyszczyku i tuszu będziesz piękna. Trudno mi to mówić, ale to prawda...

Nie mogłam uwierzyć. Po raz pierwszy od lat powiedziała mi coś miłego. Miałam ochotę ją pocałować, ale natychmiast mnie ostudziła:

- Ej! Zużyjesz mi całą tubkę! To nie L'Oreal, zwracam ci uwagę.

Oto moja Carine, cała Carine... Z obawy, że zostanie przyłapana na słabości, po pieszczocie systematycznie serwuje szpilę. Szkoda. Pozbawia się dobrych momentów. Bo byłaby to dla niej dobra chwila, gdybym znienacka rzuciła się jej na szyję. Wielki goły

buziak między dwiema ciężarówkami... Ale nie. Zawsze musi wszystko zepsuć.

Często sobie powtarzam, że powinnam wziąć ją do siebie na staż na kilka dni i poduczyć życia.

Żeby w końcu opuściła gardę, żeby się wyluzowała, żeby zdjęła fartuch i zapomniała o zarazkach.

Smuci mnie, że jest taka, zamknięta w swoich uprzedzeniach, niezdolna do czułości. A potem przypominam sobie, że była wychowywana przez wesółych Jacques'a i Francine Moulinoux na końcu ślepej uliczki dzielnicy willowej Mans, i dochodzę do wniosku, że w sumie radzi sobie wcale nie najgorzej.

Zawieszenie broni nie trwa długo. Simonowi też się dostało:

- Nie jedź tak szybko. Zablockuj drzwi, zbliżamy się do bramki na autostradzie. Co to za radio? No, ale przecież nie powiedziałam „dwadzieścia na godzinę”. Dlaczego przykręciłeś klimę? Uważaj na szaleńców na motorach. Jesteś pewien, że zabrałeś dobrą mapę? Mógłbyś z łaski swojej patrzeć na znaki? To niedorzeczne, benzyna na pewno była tam tańsza... Uważaj na zakrętach, widzisz przecież, że maluję sobie paznokcie! Robisz to specjalnie czy co?!

Widzę kark mojego brata w szparze zagłówka. Jego piękny prosty kark i przystrzyżone włosy. Zastanawiam się, jakim cudem on to znosi i czy czasem nie

marzy, żeby przywiązać Carine do drzewa i odjechać czym prędzej.

Dlaczego ona mówi do niego tak niegrzecznie? Czy na pewno wie, do kogo się zwraca? Czy wie, że mężczyzna siedzący obok niej był bogiem modeli do sklejaniania? Asem w składaniu zabawek? Geniuszem lego?

Mały cierpliwy chłopiec, który poświęcił kilka miesięcy na skonstruowanie niezwyklej planety. Z ususzonych pnączy zrobił glebę, a z okruchów chleba małe okropne potworki owinięte w pajęczynę.

Mały uparty chłopiec, który brał udział we wszelkich konkursach i prawie wszystkie wygrywał: Nesquik, Ovomaltine, Babybel, Caran d'Ache, Kellogg's i Club Mickey.

Pewnego roku jego zamek z piasku był tak piękny, że członkowie jury go zdyskwalifikowali, zarzucając mu, że korzystał z pomocy. Płakał całe popołudnie i dziadek, żeby go pocieszyć, musiał zabrać go do naleśnikami. Simon wypił trzy szklanki cydru.

Upił się wtedy pierwszy raz.

Czy Carine zdaje sobie sprawę, że jej uległy mąż dniem i nocą nosił czerwony satynowy płaszcz Supermana, który starannie składał i chował do tornistra za każdym razem, kiedy przeskakiwał przez szkolne ogrodzenie? Jedyny chłopiec, który umiał naprawić fotokopiarkę w merostwie. I jedyny, który widział majtki

Mylene Carois, dziewczyny z mięsnego Carois i Syn. (Nie miał odwagi jej powiedzieć, że go to za bardzo nie interesowało).

Simon Lariot, dyskretny Simon Lariot, który zawsze szedł z wdziękiem naprzód, we własnym tempie, nie przeszkadzając nikomu.

Który nigdy nie rzucał się na podłogę, który nigdy niczego nie wymagał, który nigdy się nie skarżył. Który zdawał z klasy do klasy i na politechnikę bez hysterii i bez środków na uspokojenie. Który nie chciał tego świętować i zaczerwienił się po uszy, kiedy dyrektorka liceum Stendhala pocałowała go na ulicy, żeby mu pogratulować.

Ten sam duży chłopiec, który może śmiać się głupio przez dwadzieścia minut z zegarkiem w rękę, kiedy zaciąga się jointem, i który zna wszystkie trasy wszystkich statków kosmicznych w *Gwiezdnych wojnach*.

Nie mówię, że jest święty. Jest kimś znacznie lepszym.

A więc dlaczego? Dlaczego pozwala, żeby nadeptywano mu na odcisk? Zagadka. Tysiąc razy próbowałam nim potrząsnąć, otworzyć mu oczy i zażądać, żeby walnął pięścią w stół. Tysiąc razy.

Pewnego dnia Lola nalegała na to. Powiedział, żeby spadała, bo to jego życie.



To prawda. To jego życie. Ale to my jesteśmy smutni.

Poza tym to idiotyczne. I bez tego mamy mnóstwo roboty we własnych ogródkach...

Najwięcej rozmawia z Vincentem. Z powodu Internetu. Piszą stale do siebie, wysyłają sobie debilne żarty i adresy stron, gdzie można znaleźć winyle, gitary po okazjnych cenach i miłośników modelarstwa. W ten sposób Simon wynalazł sobie świetnego kumpła w Massachusetts, i teraz wymieniają zdjęcia swoich zdalnie sterowanych statków. Ten kumpel nazywa się Cecil (Sesil) W. (dablu) Thurlington i mieszka w wielkim domu na wyspie Martha's Vineyard.

Uważamy z Lolą, że to superszykowne... Martha's Vineyard... *Kolebka Kennedych*, jak piszą w „Paris Match”.

Marzymy, żeby wynająć samolot, zniżyć lot nad prywatną plażą Cecila i krzyknąć: „Youhou! We are Simon's sisters! Darling Cecil! We are so very enchanted!”.

Wyobrażamy go sobie w morskim poło, ciemnoróżowym swetrze narzuconym na ramiona i w lnianych kremowych spodniach. Prawdziwa reklama Ralpa Laurena.

Kiedy grozimy Simonowi takim dyshonorem, na chwilę traci ten swój spokój.

- Ty chyba robisz to celowo! Znowu krzywo! - złości się Carine.

- Ale zaraz, ile tych warstw nakładasz? - pyta z niepokojem Simon.

- Trzy.

- Trzy warstwy?

- Baza, kolor i utrwalacz.

- Aha...

- Uwważaj, ostrzegaj, gdy hamujesz!

Unosi brwi. Nie. Pardon. Jedną brew.

O czym myśli, kiedy tak unosi prawą brew?

Zjedliśmy po gumowatej kanapce na stacji. Coś okropnego. Namawiałam raczej na jakieś małe danie dnia w zajeździe, ale „oni nie umieją porządnie umyć sałaty”. To prawda. Zapomniałam. A zatem trzy kanapki próżniowo pakowane. (Bardziej higieniczne).

„Niedobre, ale przynajmniej wiadomo, co się je!”.

Zawsze to jakiś punkt widzenia.

Siedzieliśmy na dworze, obok kontenerów na śmieci. Słyszeliśmy braaaammmm albo bruuuummm co dwie sekundy, ale chciałam zapalić papierosa, a Carine nie znosi dymu.

- Muszę iść do toalety - oświadczyła, przybierając zboląły wyraz twarzy. - Nie będzie tu luksusów.

- Czemu nie pójdziesz w trawę? - zapytałam.  
- Przy wszystkich? Zwariowałaś!  
- Po prostu odejść kawałek. Pójdę z tobą, jeśli chcesz...

- Nie.
- Dlaczego nie?
- Ubrudzę sobie buty.
- Oj... To raptem kilka kropelek.

Wstała, nie racząc odpowiedzieć.

- Wiesz, Carine - powiedziałam szczerze. -  
W dniu, kiedy zechcesz zrobić siusiu na trawie, będziesz znacznie szczęśliwsza.

Wzięła wilgotne chusteczki.

- Wszystko w porządku, dziękuję ci.

Odwróciłam się w stronę brata. Wpatrywał się w pola kukurydzy, jakby próbował policzyć wszystkie kolby. Nie wyglądał na człowieka w dobrej formie.

- Wszystko OK? - spytałam.
- OK - odpowiedział, nie odwracając się.
- Nie wygląda na to.

Potarł twarz.

- Jestem zmęczony.
- Czym?
- Wszystkim.
- Ty? Nie wierzę.
- A jednak to prawda...
- Praca?

- Praca. Życie. Wszystko.
- Dlaczego mi to mówisz?
- Dlaczego miałbym ci nie mówić?

Znowu się odwrócił.

- Och Simonie! Co ty nam robisz? Nie masz prawa tak mówić. Jesteś bohaterem rodzinnym, przypominam!

- No właśnie... Bohater jest zmęczony.

Byłam w szoku. Pierwszy raz widziałam go w takim stanie.

Jeśli on miał wątpliwości, to dokąd my zmierzamy?

W tym momencie - utrzymuję, że to cud, i dodaję, że wcale mnie to nie dziwi, całuję świętego patrona braci i sióstr, który czuwa nad nami od blisko trzydziestu pięciu lat, który nie próżnował, pocziwina - zadzwoniła komórka Simona.

Telefonowała Lola, która się w końcu zdecydowała na wyjazd i pytała, czy możemy po nią podjechać na dworzec w Chateauroux.

Morale od razu wzrosło. Simon wsunął telefon do kieszeni i poprosił mnie o papierosa. Carine wróciła, szorując ręce aż po łokcie. Przypomniała mu dokładną liczbę ofiar raka... Machnął ręką, jak gdyby chciał odgonić muchę, a Carine oddaliła się, pokaszując.

Lola przyjedzie. Lola będzie z nami. Lola nas nie zostawiła, i cały świat mógł zniknąć.

Simon założył okulary przeciwsłoneczne.

Uśmiechał się.

Jego Lola w pociągu...

Między nimi dwojgiem jest coś szczególnego. Przecież urodzili się jedno po drugim, w odstępie osiemnastu miesięcy, i naprawdę razem byli dziećmi.

Jak rozróżba, to zawsze oni. Lola miała niezwykłą wyobraźnię, a Simon rozsądek (już wtedy...), uciekali, gubili się, bili, maltretowali i godzili. Mama opowiada, że Lola zawsze go wkurzała; przychodziła do jego pokoju przeszkadzać, wrywała mu książkę z rąk albo strzelała z jego playmobila. Moja siostra nie lubi, kiedy się jej przypomina te historie z bronią (ma wrażenie, że wrzucamy ją do jednego worka z Carine!), a wtedy mama czuje się zobowiązana do kolejnego ciosu i dorzuca, że Lola zawsze była ruchliwa, zapraszała wszystkie dzieciaki z sąsiedztwa i wciąż wymyślała nowe zabawy. Była swego rodzaju superprzywódczynią, która miała tysiąc pomysłów na minutę, a o starszego brata dbała jak kwoka o pisklęta. Przyrządzała mu przysmak dinozaura (z popularnej kreskówki) i przychodziła po niego, zagrzebanego w klockach lego, kiedy nadchodziła pora bajek o Goldoraku czy też Albatorze.

Lola i Simon przeżyli Dobre Czasy w Villiers, kiedy to wszyscy mieszkaliśmy na krańcu zabitej dechami wiochy i kiedy rodzice byli razem szczęśliwi. Dla Simona i Loli świat zaczynał się wtedy przed domem i kończył na skraju wsi.

Wspólnie uciekali przed nieistniejącymi bykami i bywali w nawiedzonych domach. Tak długo dzwoniли do starej Margeval, aż doprowadzili ją do szaleństwa, niszczyli pułapki, sikali do zbiorników z wodą przeznaczoną do prania, znajdowali świńskie pisemka wychowawcy, kradli petardy, odpalali mamuty\* i ratowali kociaki, które jakiś łajdak zamknął żywcem w plastikowej torbie.

Bum. Siedem kociaków za jednym zamachem. Nasz tatko był zadowolony!

A dzień, kiedy kolarze Tour de France przejeżdżali przez naszą wieś... Mój brat i siostra kupili pięćdziesiąt bagietek i sprzedawali potem kanapki, rozpychając się łokciami wśród widzów. Za drobniaki kupili sobie śmieszne gadżety, sześćdziesiąt gum do żucia, dla mnie skakankę, małą trąbkę dla Vincenta (już wtedy!) i ostatni komiks *Yoko Tsuno*.

Tak, to było inne dzieciństwo... Oni wiedzieli, co to jest dulka, palili liany i znali smak agrestu. A zdarzenie, które najbardziej ich naznaczyło, zostało potajemnie odnotowane za drzwiami garażu:

\* Rodzaj petard.

*Dziś 8 ki kwietnia widzieliśmy księdza w szortach.*

A potem wspólnie przeżywali rozwód rodziców. Ja i Vincent byliśmy za mali na to; z oszustwa zdaliśmy sobie sprawę dopiero w dniu przeprowadzki. Oni, wręcz przeciwnie, mieli okazję w pełni przyjrzeć się przedstawieniu. Wstawali w nocy i siadali obok siebie na szczycie schodów, żeby podsłuchiwać jak rodzice „dyskutują”. Pewnego wieczoru tatko przewrócił wielki kredens w kuchni, a mama odjechała samochodem.

Simon i Lola ssali kciuk dziesięć stopni wyżej.

To idiotyczne opowiadać o tym wszystkim; ich relacja opiera się na czymś o wiele znaczniejszym niż takie trudne chwile. Ale cóż...

Ze mną i z Vincentem było już zupełnie inaczej. Jako dzieciaki żyliśmy w mieście. Mniej roweru, a więcej telewizji... Nie umieliśmy przyklejać kauczuku, ale wiedzieliśmy, jak przechytryć kanarów, wejść do kina wyjściem ewakuacyjnym czy też naprawić deskorolkę.

Potem Lola wyjechała do szkoły i nie mieliśmy już nikogo, kto by nam podszeptował pomysły na głupoty i ganiał nas w ogrodzie...

Pisałyśmy do siebie co tydzień. Była moją ukochaną starszą siostrą. Idealizowałam ją, wysyłałam jej moje rysunki i pisałam dla niej wiersze. Kiedy wra-

cała, pytała, czy Vincent dobrze się zachowywał podczas jej nieobecności. „Oczywiście, że nie - odpowiadałam. - Oczywiście, że nie”. I opowiadałam ze szczegółami o wszystkich niegodziwościach, których ofiarą padałam podczas minionych tygodni. Ku mojej wielkiej satysfakcji Lola ciągnęła Vincenta do łazienki, żeby go zbić.

Im głośniej mój brat krzyczał, tym bardziej się cieszyłam.

A potem, któregoś dnia, żeby było jeszcze lepiej, chciałam podejrzeć, jak cierpi. A tam - horror! Moja siostra uderzała w gumową rybkę, a Vincent zawodził, czytając komiks *Boule i Bill*. To było straszne rozczarowanie. Tamtego dnia Lola spadła z piedestału w moich oczach.

Co się okazało całkiem dobre. Odtąd zajmowałyśmy równorzędne pozycje.

Dziś jest moją najlepszą przyjaciółką. Wiecie, to jak u Montaigne'a i La Boetiego... Bo to była ona, bo to byłam ja. To, że ta młoda, trzydziestodwuletnia kobieta jest moją starszą siostrą, brzmi jak dowcip. Tym bardziej że nie zmarnowałyśmy czasu na odnajdywanie siebie nawzajem.

Dla niej *Próby*, superteorie, że spotka nas kara za upór i że filozofowanie to nauka umierania. Dla mnie *Rozprawa o dobrowolnej niewoli*, nieskończone nad-



użycia i wszyscy ci wielcy tyrani, którzy są wielcy tylko dlatego, że my klęczymy. Dla niej prawdziwe poznanie, dla mnie trybunały. Dla nas obu poczucie, że jesteśmy tylko połówkami i że jedna bez drugiej byłaby niepełna.

A jednak bardzo się różnimy... Ona boi się swojego cienia, ja mam go gdzieś. Ona przepisuje sonety, ja ściągam muzykę. Ona podziwia malarzy, ja wolę fotografików. Ona nie mówi nigdy, co jej leży na sercu, ja mówię wszystko, co myślę. Ona nie lubi konfliktów, ja lubię, żeby sprawy były postawione jasno. Ona lubi być na lekkim rauszu, ja wolę pić naprawdę. Ona nie lubi wychodzić, ja nie lubię wracać. Ona nie umie się bawić, ja nie umiem kłaść się spać. Ona nie lubi grać, ja nie lubię przegrywać. Ona ma zawsze szeroko otwarte ramiona, ja czasem wybuchy dobroci. Ona nie denerwuje się nigdy, ja wpadam w szał.

Ona mówi, że świat należy do tych, którzy wstają wcześniej, ja błagam ją, żeby mówiła ciszej. Ona jest romantyczna, ja jestem pragmatyczna. Ona jest mężatką, ja skaczę z kwiatka na kwiatek. Ona nie może pójść z facetem do łóżka bez miłości, ja nie mogę iść z facetem do łóżka bez prezerwatywy. Ona... Ona mnie potrzebuje, a ja potrzebuję jej.

Nie ocenia mnie. Bierze mnie taką, jaka jestem. Z moją szarą cerą i czarnymi myślami. Albo z różową

cerą i kolorowymi pomysłami. Lola wie, co to ochota na skafander żeglarski i wysokie obcasy. Rozumie, jaka to przyjemność rozgrzać do czerwoności kartę kredytową i śmiertelnie się o to obwiniać, kiedy już wystygnie. Lola mnie psuje. Trzyma zasłonkę, kiedy jestem w przymierzalni; zawsze mi mówi, że pięknie wyglądam i że nie, mój tyłek wcale nie wydaje się w tym gruby. Za każdym razem pyta, jak tam moje romanse, i układa buzię w ciup, kiedy opowiadam o moich kochankach.

Kiedy nie widzimy się przez dłuższy czas, zabiera mnie do pubu, Bofinger albo Balzar, żeby pogapić się na facetów. Ja koncentruję się na tych ze stolika obok, a ona na kelnerach. Fascynują ją ci wysocy frajerzy w dopasowanych kamizelkach. Śledzi ich wzrokiem, wymyśla im los a la Sautet i drobiazgowo analizuje ich wyuczony manier. Śmieszna sprawa, bo zawsze nadchodzi moment, kiedy widzimy, jak jeden z nich po skończonej zmianie zbiera się do wyjścia. Wygląda już zupełnie inaczej. Zamiast dużego białego fartucha ma na sobie dzinsy lub spodnie od dresu i żegna się z przyjaciółmi wulgarnie:

- Cześć, Bernard!
- Cześć, Mimi. Sie widzimy jutro?
- No. Miej nadzieję, chłoptasiu.

Lola spuszcza wzrok i palcami ściera sos z talerza. Żegnajcie, głupawe fantazje...

Trochę straciłyśmy się z oczu. Jej wyjazd do szkoły, jej studia, jej lista prezentów ślubnych, jej wakacje u teściów, jej obiady...

Serdeczność pozostała, ale brakowało bliskości. Zmieniła obóz, a raczej drużynę. Nie grała przeciwko nam, grała w lidze, która nas trochę nudziła. Rodzaj idiotycznego krykieta z mnóstwem zasad, gdzie biegiesz za czymś, czego nie widać i co w dodatku robi ci krzywdę... (Ej, moja Lolu! Niechcący podsumowałam wszystko!).

Kiedy my, „maluchy”, byliśmy jeszcze na poziomie podstawowym... Piękny trawnik — huba, huba! Puszki na koncertach i fikołki. Wysocy chłopcy w białych koszulkach polo - honk, honk! Poklepywanie w tyłek. No, wiecie, o co chodzi... Jeszcze niewystarczająco dojrzały, żeby chodzić na spacerunki wokół fontanny Neptuna\*.

Tak to było. Wołaliśmy do siebie z daleka „a kuku!”. Lola uczyniła mnie matką chrzestną swojego pierwszego dziecka, a ja ją powierniczką mojego pierwszego zawodu miłosnego (wyplakałam wtedy całą chrzcielnicę łez), jednak między tymi wielkimi wydarzeniami nie działo się nic specjalnego. Rocznice, obiady rodzinne, kilka papierosów w ukryciu przed

\* Fontanna w ogrodach Wersalu.

jej droгим misiaczkim, porozumiewawcze mrugnięcie albo jej głowa na moim ramieniu, kiedy oglądałyśmy te same zdjęcia...

To było życie... Przynajmniej jej. Szacunek.

A potem do nas wróciła. Obsypana prochem, ze wzrokiem szalonego piromana, który przychodzi, żeby oddać pudełko zapalek. Żądała rozwodu, czego nikt się nie spodziewał. Dobrze się kryła, małpa jedna. Wszyscy uważali ją za szczęśliwą. I sądzę, że nawet była podziwiana za to, iż umiała znaleźć wyjście tak łatwo i szybko. „Lola ma wszystko, co dobre” - przyznawaliśmy bez zazdrości. Nadal wymyślała poszukiwania skarbu.

Aż nagle łuuuuuuup! Zmiana programu.

Wylądowała u mnie bez uprzedzenia, o nieprawdopodobnej dla niej godzinie. O godzinie kąpieli i bajek na dobranoc. Płakała, prosiła o wybaczenie. Uważała, że jej otoczenie było tym, co usprawiedliwiało jej obecność na tej ziemi, i że reszta, cała reszta, to, co leżało się w jej głowie, jej sekretne życie i wszystkie załamania duszy nie miały wielkiego znaczenia. Należało być wesołą i należało ciągnąć swoje jarzmo, wyglądając tak, jakby przychodziło to bez wysiłku. A kiedy stawało się to zbyt trudne, pozostawała samotność, rysunek... coraz dłuższe spacery z dzieckiem w wózku, książeczki dla maluchów

i domowe życie, w którym tak wygodnie było się skryć.

O tak. Superwygodnie, mała ruda kurka z opowiadań dla dzieci Pere Castora, jej własny koniec świata...

*Ruda kurka jest dobrą panią domu:*

*Ani grama kurzu na meblach.*

*Kwiaty w wazonach,*

*A w oknach ładne zasłony, dobrze wyprasowane.*

*To przyjemność ją odwiedzać.*

Tylko że mała ruda kurka gdaknęła. Lola ją zarznęła.

Byłam w szoku, tak jak wszyscy. Brakowało mi słów. Nigdy się nie skarżyła, nie dzieliła się ze mną swoimi wątpliwościami i właśnie urodziła drugiego uroczego chłopczyka. Była kochana. Miała wszystko, jak to się mówi. Jak mówią półgłówki.

Jak należy zareagować, kiedy mówią wam, że wasz układ słoneczny się rozregulował? Co należy w takim wypadku powiedzieć? Cholera jasna! To ona wskazywała nam dotąd właściwą drogę. Ufaliśmy jej. W każdym razie ja, ja jej ufałam. Długo siedziałyśmy na podłodze, popijając wódkę. Lola płakała, powtarzała, że nie wie, na czym teraz stoi, milkła i płakała znowu. Jakąkolwiek decyzję by podjęła, i tak byłaby nie-

szczęśliwa. Czy odejdzie, czy zostanie, życie przestało być warte życia.

Za pomocą żubrówki udało mi się ją trochę otrząsnąć z przygnębienia. Hej! Ta katastrofa to nie tylko jej wina! Kiedy zbiór zasad gry jest gruby jak książka telefoniczna, kiedy kręcisz się w kółko i nie ma nikogo, kto mógłby cię wesprzeć, w każdym razie nie on, to jasne, że w pewnym momencie... Goń się!

Nie słyszała mnie.

- A dla dzieci nie możesz wytrzymać jeszcze trochę? - szepnęłam, podając jej kolejną paczkę chusteczek.

Moje pytanie natychmiast osuszyło jej łzy. A więc nic nie zrozumiałam? To dla nich ta rzeź. Żeby oszczędzić im cierpień. Żeby nigdy nie usłyszały, jak ich rodzice się biją i krzyczą w środku nocy. Przecież nie można dorastać w domu, w którym nie ma już miłości, czyż nie?

Owszem. Nie można. Rosnąć może tak, ale nie rozwijać się.

Ciąg dalszy jest ohydny. Adwokaci, płacze, szantaż, smutek, nieprzespane noce, zmęczenie, wyrzeczenia, poczucie winy, ból jednego przeciwko bólowi drugiego, agresja, dowody, sąd, świadkowie, odwołania, brak powietrza i walenie głową w mur. A pośród tego wszystkiego dwaj mali chłopcy o jasnych oczach,

przed którymi Lola robiła z siebie klauna, siedząc na skraju łóżka i wymyślając historie o puszczających bąki książętach i grubaśnych księżniczках. To było wczoraj, ale rany jeszcze palą. Nie trzeba wiele, by smutek zrodzony z dawnego smutku ogarnął ją na nowo, i wiem, że niektóre poranki są trudne. Wyznała mi któregoś dnia, że kiedy dzieci wyjeżdżają do ojca, ona płacze przed lustrem przy wejściu. Żeby się rozpuścić.

To dlatego nie chciała przyjechać na ten ślub.

Zderzyć się z rodziną. Z tymi wszystkimi wujkami, starymi ciotkami i dalekimi kuzynami. Z tymi wszystkimi, którzy się nie rozwiedli. Którzy jakoś się dogadali. Którzy postąpili inaczej. Ich miny lekko współczujące lub lekko zażenowane. Cały ten folklor. Dziewicza biel, kantaty Bacha, przyrzeczenia wiecznej wierności wyuczone na pamięć, idiotyczne przemówienia, dwie dłonie na jednym nożu i *Nad pięknym modrym Dunajem*, kiedy zaczynają już boleć stopy. A przede wszystkim dzieci. Dzieci innych.

Te, które będą cały dzień biegały we wszystkie strony, z uszami zaczerwienionymi od dopijania wina zostawionego przez dorosłych na dnie kieliszków, dzieci brudzące odświętne ubranka i błagające, żeby nie musiały jeszcze iść spać.

Dzieci usprawiedliwiają rodzinne spotkania i są pociechą.

To na nie najprzyjemniej patrzeć. Zawsze pierwsze na parkiecie i jedyne, które ośmiela się powiedzieć, że tort jest wstrętny. Zakochują się po raz pierwszy w życiu i zasypiają, wyczerpane, na kolanach mamy. Pierre miał być drużbą, odkrył, że jego cybermiecz doskonale się trzyma pod szerokim plisowanym paskiem, i zastanawiał się, czy będzie mógł podkraść kilka monet po obsypaniu nimi pary młodej. Ale Lola źle spojrziała w kalendarz opieki wyznaczony przez sąd; to nie był jej weekend. Żadnego koszyczka i żadnej bitwy o ryż na dziedzińcu przed kościołem. Zasugerowaliśmy, żeby zadzwoniła do Thierry'ego i sprawdziła, czy mogą się zamienić weekendami. Nawet nie odpowiedziała.

Ale przyjedzie! I Vincent na nas czeka! Mieliśmy zamiar usiąść we czworo przy jednym stole, gdzieś z boku, z kilkoma podkradzionymi ciotce butelkami, i komentować kapelusz ciotki Solange, biodra panny młodej i idiotyczny wygląd naszego kuzyna Huberta w meloniku wciśniętym na odstające uszy. (Jego matka nie chciała słyszeć o operacji, bo przecież „nie poprawia się dzieła Boga”. Co? Piękny jak grecki bóg, czyż nie?).

Klan się rozpadł. Życie rozkładało się na cztery części.

Grajcie, klarnety! Śpiewajcie, kukułki! To my, młod-



sze rodzeństwo z Gaskonii, z Carbon i Castel niewiem-już-gdzie.



- Dlaczego pojechałeś tędy?
- Jedziemy po Lolę - odpowiada Simon.
- Dokąd? - męczy jego ukochana.
- Na dworzec w Chateauroux.
- To żart?
- Nie, skądże. Będzie tam za czterdzieści minut.
- Dlaczego mi nie powiedziałeś?
- Zapomniałem. Dzwoniła przed chwilą.
- Kiedy?
- Kiedy byliśmy na stacji.
- Nie słyszałam.
- Byłaś w toalecie.
- Rozumiem...
- Co rozumiesz?
- Nic.

Jej usta mówiły coś przeciwnego.

- Jest jakiś problem? - zdziwił się mój brat.
- Nie. Nie ma problemu. Tylko następnym razem załóż na dach koguta, jak w taksówce, i wszystko będzie jasne.

Nie odpowiedział. Pobielały mu knykie.

Carine zostawiła Leo i Alice u swojej matki, żeby - cytuję, dwukropek, otworzyć cudzysłów - spędzić romantyczny weekend - trzy kropki, zamknąć cudzysłów.

Zapowiadało się gorąco, gorąco, gorąco!

- Macie zamiar spać z nami w pokoju?  
- Nie, nie. - Potrząsnęłam głową. - Nie martw się.

- Zarezerwowałyście coś?

- Yyyy... nie.

- Oczywiście... W to nie wątpiłam, bądź pewna.

- Ale to żaden kłopot! Prześpijemy się byle gdzie!

Na przykład u ciotki Paule!

- Ciotka Paule nie ma już wolnych łóżek. Mówiła mi to przedwczoraj przez telefon.

- Trudno, nie będziemy spały w ogóle. Ot co!

Odpowiedziała:

- ...ścieniewchwani - ciągnąc frędzle swojego szala.

Nie zrozumiałam.

Pech. Pociąg miał dziesięć minut spóźnienia, a kiedy w końcu podróżni wysiedli, Loli nie było widać na horyzoncie.

Simon i ja ścisnęliśmy pośladki.

- Jesteście pewni, że nie pomyliliście Chateau-roux z Chateaudun? - trzeszczał babsztyl.

Aż nagle, patrzcie! Oto ona... Na końcu peronu. Jechała w ostatnim wagonie, musiała wsiadać do pociągu w biegu, ale teraz była, i szła w naszą stronę, rozkładając ramiona.

Identycznie taka, jaką spodziewałam się ją zobaczyć. Uśmiech na ustach, lekko chwiejny chód, baletki, biała koszula i stare dzinsy.

Miała obłądny kapelusz. Z dużym rondem obszytym czarną tasiemką.

Uściskała mnie.

- Aleś ty piękna - powiedziała. - Obcięłaś włosy?

Uściskała Simona, klepiąc go po plecach, i zdjęła swój wielki kapelusz, żeby nie potargać loczków Carine.

Musiała jechać w wagonie dla rowerów, bo nie znalazła miejsca na swoje nakrycie głowy. Spytała, czy możemy przejść przez dworcowy bufet, bo chce kupić kanapkę. Carine spojrzała na zegarek, a ja wykorzystałam ten moment na zakup magazynu *pipl*.

Gówniana prasa. Haniebny blichtr...

Gdy wsiedliśmy do samochodu, Lola zapytała naszą bratową, czy mogłaby wziąć jej kapelusz na kolana.

- Nie ma problemu - odpowiedziała Carine z wymuszonym uśmiechem. - Nie ma problemu.

Moja siostra uniosła brodę i wyglądała, jakby chciała powiedzieć: Co się dzieje? Wzniosłam oczy do nieba, żeby odpowiedzieć: Jak zwykle.

Uśmiechnęła się i zapytała Simona, czy ma jakąś muzykę.

Odpowiedziała Carine. Że głowa jej pęka.

Ja też się uśmiechnęłam.

Następnie Lola zapytała, czy któraś z nas ma lakiery, bo chce pomalować paznokcie u stóp. Jeden raz, drugi. Brak odpowiedzi. W końcu nasza ulubiona farmaceutka podała jej małą czerwoną buteleczkę.

- Uważaj na fotele, dobrze?

Potem opowiedziałyśmy sobie siostrzane sprawy. Pomijam tę scenę. Za dużo kodów, skrótów i rżenia. A poza tym bez dźwięku, więc to i tak niczego by nie oddało.

Siostry zrozumieją.

Znajdowaliśmy się na kompletnej wsi. Carine trzymała mapę, a Simonowi znowu się dostawało. W pewnej chwili powiedział:

- Daj tę cholerną mapę Garance! Tylko ona ma zmysł orientacji w tej przeklętej rodzinie!

Spojrzałyśmy z dala na siebie, marszcząc brwi. Dwa epitety w jednej wypowiedzi i wykrzykniki na końcu zdań... Nie było dobrze.

Niedługo przed przyjazdem do zamku ciotki Paule Simon wynalazł małą dróżkę obrośniętą jeżynami. Rzuciłyśmy się na nie, wspominając z drzeniem w głosie piękną aleję grabową. Carine nie ruszyła tyłka z samochodu. Przypomniała nam tylko, że lisy sikają na jeżyny.

Miałyśmy to gdzieś.

Błąd...

- Oczywiście. „Bąblowiec” to wam nic nie mówi. Larwy pasożytów w moczu i...

Mea culpa, mea maxima culpa! Trochę się wkurzyłam.

- Ależ to bzdury! Bulszit i spółka! Lisy mają całą naturę do sikania! Wszystkie ścieżki! Wszystkie skarpy! Wszystkie drzewa i wszystkie pola dookoła! Miałyby sikać akurat tu?! Właśnie na te jeżyny?! Ależ to głupoty! To mnie wykańcza, rozumiesz... To sprawia, że jestem chora. Tacy ludzie jak ty zawsze wszystko psują...

Pardon. Mea culpa. Moja wina. Moja bardzo wielka wina. Obiecałam sobie, że od tej chwili będę się dobrze zachowywać. Obiecałam sobie, że będę spokojna i nieskończenie zen. Jeszcze dziś rano przed lustrem przypominałam sobie, grożąc palcem: Garantie, żadnych kłótni z Carine, OK? Choć raz nie zepsuj nastroju. Ale w tamtej chwili wybuchłam. Przykro mi. Najmocniej

przepraszam. Popsuła nam jeżyny, a razem z nimi odrobinę dzieciństwa. Jak ona mnie wkurza! Nie mogę jej znieść. Jeszcze jedna podobna uwaga i każę jej połknąć kapelusz Loli.

Musiała usłyszeć w moim głosie świst kul. Zamknęła drzwi i włączyła silnik. Żeby klima działała.

To też mnie wkurza - ludzie, którzy nie wyłączają silnika podczas postoju, żeby im grzało nogi albo chłodziło głowę, ale dobrze, pominiemy to. O ocieplaniu klimatu porozmawiamy innym razem. Zamknęła się, chociaż tyle. Myślmy pozytywnie.

Simon rozprostowywał nogi, podczas gdy my się przebierałyśmy. Kupiłam wspaniałe sari w pasażu Brady, tuż obok mnie. Turkusowe, haftowane złotą nitką, naszywane perełkami i maleńkimi grzechotkami. Miałam małą górę na ramiączkach, długą prostą spódnicę, bardzo obcisłą, z dużym rozcięciem i kawał tkaniny do owinięcia się.

Wspaniałe.

Kolczyki z wiszącymi kryształkami, wszystkie amulety Radżasthanu na szyi, dziesięć bransoletek na prawym nadgarstku i prawie dwa razy tyle na lewym.

- Ładnie ci - zawyrokowała Lola. - To niewiarygodne. Tylko ty możesz sobie pozwolić na coś takiego. Masz taki ładny brzuch, płaski, umięśniony...

- No... - odpowiedziałam rozpromieniona, gładząc go. - Dziesiąte piętro bez windy...

- Mój pępek ciężo wpisały w cudzysłów rozstępów... Ty będziesz uważała, OK? Będziesz codziennie nakładała krem i...

Wzruszyłam ramionami. Mój dalekosiężny wzrok nie sięgał aż tak daleko.

- Zapniesz mi guziki? - ćwierknęła, odwracając się.

Po raz enty miała na sobie czarną jedwabną suknię z okrągłym dekoltem, bez rękawów, z tysiącem miniguziczków z tyłu, jak przy sutannie.

- Nie wykosztowałaś się na ślub naszego drogiego Huberta - skonstatowałam.

Odwróciła się z uśmiechem.

- Ej...

- Co?

- Zgadnij cenę kapelusza.

- Dwieście?

Wzruszyła ramionami.

- Ile?

- Nie mogę ci powiedzieć - zagdakała. - To zbyt straszne.

- Przestań się wygłupiać, kretynko, nie mogę trafić do dziurek...

To był rok baletek. Jej były delikatne, wiązane, moje - całe w złotych cekinach.

Simon klasnął w dłonie:

- Chodźcie, Show Girls... Do samochodu!

Trzymając się ramienia siostry, żeby się nie potknąć, mruknęłam:

- Ostrzegam, jeśli ta pinda spyta mnie, czy wybieram się na bal kostiumowy, każę jej zjeść twój kapelusz.

Carine nie miała okazji powiedzieć czegokolwiek, bo siadając, podciągnęłam wysoko spódnicę. Była nadzwyczaj wąska i musiałam ją podciągnąć, żeby nie rozerwać szwów.

W stringach na fotelu z wiskozy i alpaki, byłam... dostojna.

Umalowałyśmy się w lusterku puderniczki, podczas gdy nasza narodowa bąblownica sprawdzała w swoim lusterku, czy klipsy ma równo przypięte.

Simon błagał nas, żebyśmy się nie perfumowały wszystkie naraz.

Dojechaliśmy do Petaouchnoque na czas. Opuściłam spódnicę, kryjąc się za samochodem, i udaliśmy się na dziedziniec kościoła, śledzeni meduzowatym wzrokiem mieszkańców Petaouchnoque, którzy siedzieli w oknach.



Ładna panna młoda w szarościach i różach rozmawiała z wujkiem Georges'em, a nieco dalej stała nasza mama. Rzuciliśmy się jej na szyję, uważając, żeby nie zostawiła na nas śladów szminki.

Dyplomatką! Najpierw ucałowała synową, komplementując jej strój, a potem odwróciła się do nas ze śmiechem.

- Garantie... Wyglądasz wspaniale... Brakuje ci tylko czerwonej kropki na czole!

- Jeszcze tego by brakowało! - rzuciła Carine, ruszając w stronę biednego, zwiędłego wujcia. - To nie karnawał, o ile mi wiadomo...

Lola udała, że podaje mi swój kapelusz, i wybuchnęliśmy śmiechem.

Mama odwróciła się w stronę Simona.

- Całą drogę były takie nieznośne?

- Gorzej - odrzekł poważnie. - I dodał: - A Vincent? Nie ma go z tobą?

- Nie. Pracuje.

- Gdzie?

- Ciągle w swoim zamku...

Nasz najstarszy brat jakby nagle stracił dziesięć centymetrów wzrostu.

- Ale... Myślałem... Mówił mi, że przyjedzie...

- Próbowałam go przekonać, ale nie dałam rady.

Wiesz, on i jego sprawy...

Simon wyglądał na załamane.

- Mam dla niego prezent. Unikatową płytę. Taką miałem ochotę się z nim zobaczyć... Nie widziałem go od Bożego Narodzenia. Jestem bardzo rozczarowany... Idę się napić...

- Kalamba! Nasz Simon nie **jest** fcale ffolmie...

- Zadziwiasz mnie - powiedziałam, patrząc podejrzliwie na Pannę Psuj-Radość, która obściskiwała wszystkie nasze stare ciotki. - Zadziwiasz mnie...

- W każdym razie wy, moje córki, wyglądacie oszłamiająco! Podniesiecie go trochę na duchu, zatańczycie z bratem dziś wieczorem, prawda?

I mama odeszła, aby zadośćuczynić konwenansom.

Śledziłyśmy wzrokiem tę maleńką damę. Jej gracia, jej chód, jej witalność, jej elegancja, jej klasa...

Paryżanka...

Twarz Loli spochmurniała. Dwie urocze małe dziewczynki biegły za orszakiem, śmiejąc się.

- Dobra - powiedziała. - Chyba dołączę do Simona...

A **ja**, jak idiotka w zwisającym smętnie sari, zostałam na środku placu.

Nie na długo jednak, bo nasza kuzynka Sixtine poodeszła, gdacząc:

- Ej, Garance! Harikriszna! Wybierasz się na bal przebierańców czy co?

Uśmiechnęłam się najładniej jak potrafiłam, powstrzymując się od skomentowania widocznego (mimo starań) wąsika i pomidorowoczerwonego kostiumu Christine Laure de Besancon.

Kiedy odeszła, przyczepiła się do mnie ciotka Genevieve:

- Mój Boże, to ty, moja mała Clemence? Mój Boże, a cóż to za żelastwo masz w pępku? Mam nadzieję, że przynajmniej nie boli.

OK - pomyślałam. - Chyba dołączę do Simona i Loli...

Siedzieli w kawiarnianym ogródku. Duże piwo w zasięgu ręki, szyja w kierunku słońca, nogi wyciągnięte.

Usiadłam w fotelu wiklinowym i zamówiłam to samo, co oni.

Zadowoleni, spokojni, z ustami ozdobionymi pianką z piwa, przyglądaliśmy się pocziwym ludziom siedzącym na progach domów i obgadującym pocziwych ludzi przed kościołem. Cudowne widowisko.

- Ej, czy to nie nowa żona rogacza Oliviera tam dalej?

- Ta mała brunetka?

- Nie, blondynka, obok Larochaufee...
- Pomocy! Jest jeszcze brzydsza niż poprzednia.

Patrz, jaka torebka...

- Podróża Gucciego.
- No jasne. I nawet nie jak z bazaru w Vintimille.

Guczi z Pekinu...

- Wstyd.

Mogłyśmy rozmawiać w ten sposób jeszcze długo, gdyby nie Carine, która po nas przyszła.

- Idziecie? Zaraz się zacznie...
- Idziemy, idziemy... - powiedział Simon. - Tylko skończę piwo.

- Ale jeśli nie pójdziemy natychmiast - nalegała - nie znajdziemy dobrych miejsc i nic nie zobaczą...

- Idź, mówię ci. Ja zaraz przyjdę.
- Może byś się pospieszył?

Była już dwadzieścia metrów od nas, kiedy wrzasnęła:

- I wstąp do sklepu naprzeciwko po ryż!

Odwróciła się ponownie.

- Nie za drogi, dobrze? Nie kupuj uncles bensa, jak ostatnim razem!

- Taa... - mruknął pod wąsem.

W oddali zauważyliśmy pannę młodą prowadzoną przez ojca. Niedługo będzie miała pełno małych szcurek z uszami Myszki Miki. Policzyliśmy spóź-

nialskich i powitaliśmy oklaskami chłopca z chóru, który pędził, aż się za nim kurzyło.

Kiedy umilkły dzwony, a autochtoni odwrócili się z powrotem w stronę swoich talerzy, Simon powiedział:

- Mam ochotę zobaczyć się z Vincentem.

- Wiesz, nawet jeśli do niego zaraz zadzwonimy... - odpowiedziała Lola, podnosząc torebkę. - Zanim tu dotrze...

W tym momencie podbiegł mały chłopiec we flanelowych spodniach, z grzywką zaczesaną na bok. Simon zaczął go:

- Ej! Chcesz zarobić pięć partii na flipperach?

- Nooo...

- To wracaj do kościoła i przyjdź po nas pod koniec przysięgi.

- Da mi pan pieniądze od razu?

Chyba śnię. Dzisiejsze dzieciaki są niewiarygodne...

- Masz, mały spryciarzu. I bez żartów, OK? Przyjdiesz po nas?

- Mam czas, żeby teraz zagrać partyjkę?

- Idź - westchnął Simon. - A potem kierunek: organy...

- OK.

Jeszcze chwilę staliśmy. Nagle Simon powiedział:

- A gdybyśmy do niego pojechali?
- Do kogo?
- Do Vincenta!
- Kiedy? - zapytałam.
- Teraz.
- Teraz?
- Naprawdę mówisz „teraz”? - dociekała Lola.
- Zwiewasz? Chcesz wsiąść do samochodu i odjechać stąd?
- Moja droga Garance, uważam, że doskonale rozumiałaś mój zamysł.
- Zwariowałaś! - orzekła Lola. - Przecież nie wyjedziemy ot tak sobie?
- A czemu nie? (Szukał drobników w kieszeni).  
No już... Dziewczyny, jedzicie?
- Nie zareagowałyśmy. Wzniósł ręce.
- Mówię wam, zwijamy się! Zabieramy się! Uciekamy. Zmiotamy, spadamy. Wiejemy!
- A Carine?
- Opuścił ręce.
- Wyjął z marynarki długopis i odwrócił podkładkę pod piwo.
- *Pojechaliśmy do zamku Vincenta. Powierzam Ci Carine. Jej rzeczy są przed Twoim samochodem. Cahujemy.*
- Hej, mały! Zmiana planów. Nie musisz iść na mszę, ale dasz to pani ubranej na szaro, w różowym kapeluszu, która ma na imię Maud, zrozumiano?

- Zrozumiano.
  - Jak ci idzie?
  - Dwie ekstrakulki.
  - Powtórz, co powiedziałem.
  - Wpisuję się na listę zwycięzców, a potem zanoszę tę podkładkę pani w różowym kapeluszu, która się nazywa Maud.
  - Zaczaisz się i dasz jej, kiedy będzie wychodziła z kościoła.
  - OK, ale to będzie drożej.
- Nabijał się.



- Zapomniałeś o kufereku...
- Ups! W tył zwrot. Tego by mi nigdy nie wybaczyła...

Położyłam kuferek z kosmetykami na torbie Carine i ruszyliśmy w chmurze pyłu. Dokładnie tak, jakbyśmy napadli na bank.

Na początku nie mieliśmy odwagi się odezwać. Byliśmy trochę poruszeni, a Simon co dziesięć sekund spoglądał w lusterko.

Być może spodziewaliśmy się usłyszeć syreny wozu policyjnego wysłanego w pościg przez Carine opętaną wściekłością, z ustami pełnymi piany. Tymczasem nie, nic takiego. Kompletna cisza.

Lola siedziała koło Simona, a ja oparłam się łokciami o ich fotele. Każde z nas czekało, aż ktoś inny przerwie kłopotliwą ciszę.

Simon włączył radio i Bee Gees zameczeli:

*And we 're staying alive, staying alive...*

*Ha, ha, ha, ha... Stayin'alive, stayin 'alive...*

Grzeszymy. To było zbyt piękne, żeby mogło okazać się prawdziwe. To był znak! Palec boży! (Nie. To była dedykacja od Patou dla Dany z okazji rocznicy spotkania na balu w Treignac w 1978, ale tego dowiedzieliśmy się później). Natychmiast podchwyciliśmy chórem:

- HA! HA! HA! HA! STAYIN' ALIIIIIIIVE... -  
podczas gdy Simon pruł zygzakiem po D1 14, poluzowując krawat.

Założyłam z powrotem dzinsy, a Lola podała mi swój kapelusz, żebym umieściła go z tyłu.

Ze względu na cenę, jaką zapłaciła, była trochę rozczarowana.

- Ej... - powiedziałam jej na pocieszenie. - Założysz go na mój ślub...

Śmiech - LOGROMNY - w przybytku.



Nastrój wrócił. Udało się nam wyrzucić alienkę ze statku kosmicznego.

Musieliśmy jeszcze tylko odzyskać ostatniego członka załogi.

Ja szukałam wioski Vincenta na mapie, a Lola robiła za didżeja. Mieliśmy do wyboru regionalną stację France Bleu Creuse albo Radio Gelinotte. Ani trochę w stylu sound system, ale co z tego? Trajlowałyśmy jak wariatki.

- Nigdy nie sądziłam, że jesteś zdolny do czegoś takiego - powiedziała Lola, patrząc na naszego szofera.

- Mądrość przychodzi z wiekiem - odrzekł z uśmiechem, biorąc ode mnie papierosa.

Jechaliśmy od dwóch godzin i właśnie opowiadałam im o pobycie w Lizbonie, kiedy...

- Co się stało? - zaniepokoiła się Lola.
- Nie widziałas?
- Nie widziałam czego?
- Psa.

- Jakiego psa?
- Na poboczu...
- Nieżywego?
- Nie. Porzuconego.
- Hej! Nie pogrążaj się w takim nastroju.
- To dlatego, że widziałam jego spojrzenie, rozumiesz?

Nie rozumieli.

A jednak ten kundel patrzył na mnie, byłam tego pewna.

Usłyszałam okropny zgrzyt, a potem Lola zaczęła rozpamiętywać naszą ucieczkę, masakrując nas muzyką z *Mission impossible*, którą puściła na cały regulator. Ja byłam zajęta własnymi myślami.

Trzymałam mapę, oddawałam się marzeniom, odtwarzałam w pamięci fragmenty minionej nocy. Wykazałam się przebiegłością w ostatnim rozdaniu, wygrawając kareta z złożoną z czterech cyfr, ale cóż... Wygrałam...

Cztery. Teraz wszystko nabierało sensu.



Kiedy przyjechaliśmy, właśnie zaczęło się oprowadzanie ostatniej grupy zwiedzających.

Młody facet, bladej jak ściana, dość odrażający,

z cielęcym wzrokiem, poradził nam, żebyśmy szybciotko dołączyli do grupy na pierwszym piętrze.

Było tam kilku zagubionych turystów, kobiety ze zwiotczalymi udami, para skupionych nauczycieli, przykładne rodziny, marudne dzieciaki i garstka Holendrów. Wszyscy odwrócili się, gdy usłyszeli, że nadchodzimy.

Vincent nas nie widział. Stał plecami do nas i opowiadał o machikułach z przejęciem, jakiego w jego wydaniu nie znaleźmy.

Pierwszy szok: miał na sobie wytartą marynarkę, koszulę w paski, spinki do mankietów, szaliczek, wsunięty pod kołnierzyk, i wątpliwej jakości spodnie włożone na lewą stronę. Był ogolony i miał zaczesane do tyłu włosy.

Kolejny szok: gadał głupoty.

Ten zamek jest w rodzinie od kilku pokoleń. Dziś Vincent mieszka w nim sam, czekając, aż uda mu się założyć rodzinę i odremontować fosę.

To przeklęte miejsce, gdyż zostało potajemnie zbudowane dla kochanki trzeciego nieślubnego syna Franciszka I, niejkiej Isaure de Haut-Brabant, która zwarowała przez niego z zazdrości, jak mówiono, i którą posądzano o czary.

- ...I nadal, drodzy państwo, podczas pierwszej wiosennej pełni księżyca, słyhać bardzo dziwne odgłosy, rodzaj rżenia, dobiegające z piwnic pełniących niegdyś funkcję lochów...

...Kiedy mój dziadek urządzał pomieszczenie, które obecnie jest kuchnią, a zobaczycie je już za chwilę, znalazł kości z okresu wojny stuletniej i kilka monet służących jako pieczęcie Świętemu Ludwikowi. Po lewej tapiserie z dwunastego wieku, po prawej portret słynnej kurtyzany. Zwróćcie uwagę na pieprzyk pod lewym okiem, niepodważalny znak boskiej klątwy...

...Z tarasu będą państwo mogli podziwiać cudowny widok... W wietrzne dni daje się zauważyć wieże Saint-Roch...

...Tędy, proszę. Uwaga na stopień.

Uszczypnijcie mnie, chyba śnię.

Zwiedzający uważnie oglądali pieprzyk czarownicy i pytali Vincenta, czy w nocy się nie boi.

- Do licha, przecież mam się czym bronić!

Wskazał na zbroje, halabardy, kusze i inne maczugi, przytwierdzone na ścianie wzdłuż schodów.

Ludzie przytakiwali ponuro, kamery szły w ruch.

Co to za wariactwo?

Kiedy przeszliśmy tuż przed nim, opuszczając pomieszczenie, twarz mu się rozjaśniła. Och, nic wielkiego. Kiwnięcie głową, tylko tyle. Więzy krwi i dawne relacje.

Cecha Wielkich.

Dusiliśmy się ze śmiechu między hełmami i kuszami, podczas gdy Vincent perorował na temat trudności w utrzymaniu takiej budowli.

- Czteryście metrów kwadratowych dachu, dwa kilometry rynien, trzydzieści pomieszczeń, pięćdziesiąt dwa okna, dwadzieścia pięć kominów i... brak ogrzewania. A także elektryczności. Jak też bieżącej wody, a o tym właśnie teraz marzę! Stąd trudności waszego uniżonego sługi ze znalezieniem narzeczonej...

Ludzie śmiali się.

- ...Tutaj bardzo rzadko spotykany portret księcia Dunois. Proszę zwrócić uwagę na rzeźbione herby, które znajdują się na frontonie schodów w północno-zachodnim rogu dziedzińca.

Teraz wchodzimy do pokoju z alkwą urządzoną w osiemnastym wieku przez moją praprababkę, markizę de La Lariotine, która przyjeżdżała na polowania konne w okolicy. I nie tylko konne, niestety... Mój biedny wuj markiz nie miał czego zazdrościć temu pięknemu rogowcowi, którego mogliście podziwiać przed chwilą w jadalni... Ostrożnie, proszę pani, to

delikatne... Polecam rzucić okiem na pomieszczenie do toalety... Szczotki, pudełka na sól i pojemniki na lecznicze pomady są oryginalne... Nie, to, proszę pani, to nocnik z drugiej połowy dwudziestego wieku, a to zbiornik absorbujący wilgoć.

Teraz przechodzimy przez najpiękniejszą część zamku, schody od strony skrzydła północnego, ze wspianiałym sklepieniem łukowym. Dzieło sztuki epoki renesansu w czystej postaci...

Upraszam o niedotykanie, gdyż czas czyni swoje wielkie dzieło, i tysiące palców, nad czym ubolewam, są niczym dłuta...

Miałam zwidy...

- ...Niestety, nie mogę pokazać państwu kaplicy, która poddawana jest renowacji, ale proszę, żebyście nie opuszczali mojego skromnego domostwa bez przechadzki po parku, gdzie poczujecie szczególnie wibracje, pochodzące od tych kamieni, przeznaczonych, przypominam, do ochrony miłości niedoszłego króla schwytanego w sieci mamiącej czarownicy...

Szepty pośród zgromadzenia.

- ...Dla chętnych kartki pocztowe, pamiątkowe zdjęcia w zbroi i toalety przy wyjściu z parku.

Życząc dobrego dnia, pozwalam sobie, panie i pa-

nowie, polecić waszej pamięci przewodnika. Cóż mówię „przewodnika”? Biednego wyrobnika w tym domostwie! Uprzywilejowanego niewolnika, który nie prosi o jałmużnę, lecz o środki pozwalające przetrwać do powrotu księcia Paryża.

Dziękuję.

Dziękuję paniom.

Thank you, sir...

Poszliśmy za grupą, podczas gdy Vincent wycofał się tajnym przejściem.

Gawiedź była urzeczona.

Wypaliliśmy po papierosie, czekając na niego.

Typek sprzed wejścia wciskał dzieciaki do zdeformowanej zbroi i robił im zdjęcia z wybraną przez nie bronią.

Zdjęcie dwa euro.

- Jordan! Uważaj, wybijesz siostrze oko!

Typek był superzen albo supertępy. Wykonywał ruchy powoli i wydawało się, że w ogóle nie ma nerwów. Papieros Gitane Mais bez filtra w kąciku ust i czapka z daszkiem Chicago Bulls założona tył na przód - powalająca wizja. Trochę w stylu filmu *Fantasia chez les ploucs\**.

\* Komedia gangsterska Gerarda Piresa, rozgrywająca się w zapomnianym zakątku Stanów Zjednoczonych.

- Jordan! Odłóż to!

Gdy tylko ludzie odeszli, Supertępak wziął grabie i oddalił się, żując peta.

Zaczynaliśmy się zastanawiać, czy mały baron de La Lariotine raczy się w końcu pojawić.

Kręcąc głową z niedowierzaniem, nie przestawałam powtarzać:

- Mam zwidy... Mam zwidy... No nie, znowu mam zwidy.

Simon był zainteresowany mechanizmem mostu zwodzonego, a Lola układała pnącą różę.

Vincent nadszedł, uśmiechając się. Teraz miał na sobie czarne sfatygowane dzinsy i sprany T-shirt Sundayata.

- Hej, co wy tu robicie?

- Tęskniliśmy za tobą...

- O, to miło.

- Wszystko OK?

- Super. Nie powinniście jednak jechać na ślub Huberta?

- Owszem, ale pomyliliśmy drogę.

- Rozumiem... Cool.

Cały on. Spokojny, uprzejmy. Niezbyt poruszony



tym, że nas widzi, ale zabawnie zadowolony mimo wszystko.

Nasz Księżycowy Pierrot, nasz Marsjanin, nasz młodszy brat, nasz własny Vincent.

To było cool.

- A więc - powiedział, otwierając ramiona - co sądzicie o moim małym kempingu?

- Czekaj, co to ma być, te wszystkie głupoty? - zapytałam.

- Co? To, co opowiadam? Och... To tylko głupoty. Ona naprawdę istniała, ta Isaure, tylko że... Według archiwaliów pochodziła z sąsiedniej wsi, ale jako że tamtejszy zamek się spalił, trzeba było znaleźć jej nowe lokum, czyż nie?

- Nie. A to z twoimi przodkami i twój artystyczny look, te wszystkie ścierny, które przed chwilą słyszeliśmy?

- A, to...? Postawcie się na moim miejscu! Przyjechałem na początku maja, żeby rozpocząć sezon. Stara powiedziała, że wyjeżdża do sanatorium i że za pierwszy miesiąc zapłaci po powrocie. Od tamtej pory żadnych wieści. Babcia zniknęła. Już sierpień, a ja nadal nic nie mam. Ani kasztelanowej, ani kwitka po wypłacie, ani darowizny, niczego. Muszę przecież jeść! Z tego powodu byłem zmuszony wymyślić ten cały cyrk. Żyję tylko z napiwków, a one nie przychodzą ot tak. Ludzie chcą czegoś w zamian, a jak wi-

dzisz, to nie Disneyland... Więc Bibi\* wciąga marynarkę, nakłada sygnet i idzie na barykady!

- Niewiarygodne.
- Ej, mała damulko, jak mus, to mus...
- A ten drugi?
- To Nono. Opłaca go gmina.
- Yyy... On jest... Ma wszystkie klepki?

Vincent zwija sobie papierosa.

- Nie wiem. Wiem tylko, że nazywa się Nono.  
Jeśli rozumiesz Nono, to OK, jeśli nie, jest ciężko.

- A co robisz całymi dniami?  
- Rano śpię, po południu oprowadzam wycieczki,  
a noc mam na muzykę.

- Tu?  
- W kaplicy. Pokażę wam... A wy? Co robicie?  
- Hmm, yyy... nic. Chcielibyśmy cię zaprosić do  
resta...

- Kiedy? Dziś wieczorem?  
- Tak, spryciarzu! Przecież nie po następnej wy-  
prawie krzyżowej!

- Oj nie, dziś wieczorem to nie będzie możliwe...  
Nono właśnie wydaje za mąż swoją siostrzenicę i je-  
stem zaproszony...

- Ej, mów, jeśli ci przeszkadzamy.

\* Bohater *Antoine, Bibi et Casimir*, serii dowcipnych filmików in-  
ternetowych.

- Wcale nie! To naprawdę cool, że jesteście. Załatwimy to... Nono!

Zawołany odwrócił się powoli.

- Myślisz, że to by przeszkadzało, gdyby mój brat i moje siostry dzisiaj wpadli?

Przyglądał się nam długo, a potem zapytał:

- To twój braciak?

- Tak.

- A one? To twoje siory?

- Tak.

- Są dziewczycami?

- Ej, Nono, nie o tym mowa! Nono, cholera jasna...

Myślisz, że mogą przyjść dziś wieczorem?

- Kto?

- Kurwa, ten koleś mnie dobija, no oni!

- Przyjść gdzie?

- Na ślub Sandy!

- Jasne. Czemu pytasz? - Wskazał mnie brodą i dodał: - Ona też będzie?

Glups!

Niech mnie zostawi ten wstrętny Golum...

Vincent był załamany.

- On mnie dobija. Ostatnim razem nie wiem, co zrobił, ale jakiś chłopiec zaklinował się w zbroi i musieliśmy wzywać strażaków... Nie śmiejcie się, to nie wy się z nim codziennie użeracie...

- Więc po co idziesz na ślub jego siostrzenicy?
- Nie mogę postąpić inaczej. Wiecie, on jest bardzo wrażliwy. Tak, tak, śmieJCie się, dziewice... Simon, powiedz, czemu one ciągle tak srogo na mnie patrzą? Poza tym jego matka daje mi mnóstwo dobrych rzeczy. Pasztety, warzywa ze swojego warzywnika, kiełbaski... Bez niej bym nie dał rady.

Miałam zwydy...

- Muszę jeszcze podliczyć pieniądze, wyczyścić kible, pomóc tamtemu upośledzonemu zagrabić aleje i zamknąć wszystkie drzwi.

- Ile ich jest?

- Osiemdziesięcioro czworo.

- Pomożemy ci.

- Cool, to miło. Tam są jeszcze jedne grabie, bierzcie, a co do toalet, to korzystamy ze strumienia...

Zakasaliśmy rękawy naszych strojów i wszyscy zabraliśmy się do roboty.



- Sądzę, że już wystarczy. Chcecie się wykąpać? Gdzie?
- Kawałek stąd jest rzeka...
- Czysta? - zapytała Lola.
- Lisy do niej nie sikają? - dodałam.
- Słucham...?

Nie byliśmy zbyt rozochoczone.

- Ty tam chodzisz?
- Co wieczór.
- No to idziemy z tobą...

Simon i Vincent szli przodem.

- Mam 33 MC5 dla ciebie.
- Naprawdę?
- Owszem...
- Pierwsze tłoczenie?
- O tak.
- Cool. Jak ci się udało to znaleźć?
- Ani słowa, przecież nic nie jest zbyt dobre dla waszej wysokości!
- Idziesz się kąpać?
- Jasne.
- Hej, dziewczyny! Idziecie się kąpać?
- Niekoniecznie, jeśli ten zboczeniec jest gdzieś w okolicy - mruknęłam.
- Nie, nie! Popilnujemy was!
- On tam jest! - zajęczałam. - Czuję to. Gapi się na nas zza drzew.

Moja siostra chichotała.

- Mam zwidy, przysięgam.
- Rozumiemy, że masz zwidy, rozumiemy. No już, siadaj.

Lola wyjęła Water-Closer z mojej torby i szukała naszego horoskopu.

- Jesteś Wodnikiem, prawda?

- He? Co? - zapytałam, odwracając się szybko, żeby wystraszyć onanistę Nono.

- Słuchasz mnie?

- Tak.

- *Miej się na baczności. W tym okresie, zdominowanym przez Wenus Lwie, wszystko może się wydarzyć. Spotkanie, wielka miłość, na którą czekałaś, jest bliźniutko. Zauważ swój wdzięk i seksapil, a przede wszystkim bądź otwarta na różne możliwości. Twój mocny charakter często płatał ci figle. Już czas zgodzić się na dawkę romantyzmu.*

Ta idiotka umierała ze śmiechu.

- Nono! Wracaj! Ona jest tu! Zgodzi się na dawkę ro...! - zawołała.

Zasłoniłam jej usta dłonią.

- Bzdury. Jestem pewna, że wszystko to wymyśliłaś...

- Wcale nie! Sama zobacz!

Wyrwałam jej tę szmatę z rąk.

- Pokaż...

- Tu, popatrz... *zdominowanym przez Wenus Lwie*, niczego nie wymyśliłam.

- Bzdury...

- W każdym razie, gdybym była tobą, miałabym się na baczności...

- Też coś! To jakieś głupoty...  
- Masz rację. Zobaczmy lepiej, co się dzieje w stonach Saint Tropez...

- Czekaj... Nie powiesz chyba, że to prawdziwe piersi?

- W istocie, nie powiem.

- A widziałaś...? Hiiiiiiii! Simon, spadaj, albo zadzwonię do twojej żony!

Chłopcy otrząsali się tuż przy nas z wody.

Nie powinnyśmy były o tym zapominać... Vincent z ustami pełnymi wody biegł za Lolą, która darła się na całą okolicę, siejąc po drodze guziki sukienki.

Zebrałam nasze rzeczy i podążyłam za nimi, wydając z siebie dźwięki w rodzaju uch, pff i ła, skierowane pod adresem wszystkich pobliskich krzaczków, z kciukiem i palcem wskazującym wystawionymi jak różki ślimaka.

Z drogi, Belzebubie.

Vincent oprowadził nas po swoich prywatnych apartamentach.

Zniósł łóżko z pierwszego piętra - gdzie było mu za gorąco - i zakwaterował się w stajni. Niby przypadkiem, wybrał boks pod Serduszkciem.

Między Polką a Huraganem...

Był wystrojony jak milord. Botki nienagannie wy-  
pastowane. Czysty biały garnitur z lat siedemdziesią-  
tych. Niski stan i blad różowa jedwabna koszula  
z kołnierzykiem tak szpiczastym, że niemal łaskotał  
go pod pachami. Na kimkolwiek innym wyglądałoby  
to śmiesznie, na nim było pełne klasy.

Poszedł po gitarę. Simon wyciągnął z bagażnika  
prezent i udaliśmy się do miasteczka.

Wieczorne światło było piękne. Cała wieś w kolo-  
rach ochry, brązu, starego złota odpoczywała po dłu-  
gim dniu.

Vincent poprosił, żebyśmy się odwrócili i podziwia-  
li wieżę jego zamku.

Splendor.

- Nie nabijajcie się - poprosił nasz brat.

- Ależ skąd! - powiedziała Lola, jak zwykle dba-  
jąca o Kosmiczną Harmonię.

Simon zaintonował:

- Och, mój zaaaaaaaaaamek to najpięknieeejszy  
z zamków...

Simon śpiewał, Vincent śmiał się, a Lola uśmie-  
chała. Szliśmy wszyscy czworo środkiem rozgrza-  
nej jeszcze drogi, prowadzącej do małego miastecz-  
ka Indre.

W powietrzu unosił się zapach smoły, mięty i sia-



na. Krowy nas podziwiała, a ptaki zwoływały się do stołu.

Kilka gramów słodczy.

Lola znowu włożyła kapelusz, a ja moje przebranie. Nie miałyśmy specjalnego powodu, ale jednak ślub to ślub.

W każdym razie tak myślałyśmy do czasu, kiedy dotarłyśmy na miejsce...

Weszliśmy do dusznej sali balowej, w której czuć było potem i nieświeżymi skarpetkami. W rogu złożono materace, a panna młoda siedziała na koszu do koszykówki. Wyglądała, jakby wydarzenia trochę ją przerosły.

Stoły w stylu bankietu u Asterixa, miejscowe wino w kartonach i zizique\* na cały regulator.

Gruba kobieta, opakowana w strój z powiewającymi elementami, rzuciła się na naszego młodszego brata:

- Ach! Oto i on! Chodź, mój synu, chodź! Nono mi powiedział, że jesteś z rodziną... Chodźcie wszyscy, chodźcie tędy! Och, jacy oni piękni! Jaki piękny

\* Playlista internetowa.

kapelusz! A ona, jaka ona chuda, ta mała! To jak? W Paryżu nie dają nic do jedzenia? Siadajcie. Jedzcie, dzieci. Jedzcie do syta. Jest wszystko, czego trzeba. Poproście Gerarda, żeby wam polał. Gerard! Chodźże tu, mój chłopcze!

Vincent nie mógł się wyrwać, kiedy kobieta zasypywała go pocałunkami, a ja dokonywałam porównań. Myślałam o tej nieznajomej i o niedawnej uprzejmej pogardzie moich stryjecznych babek. Miałam zwidy...

- Może jednak przywitamy się z panną młodą?

- Właśnie, powiedzcie „dzień dobry” i sprawdźcie, gdzie jest Gerard... Niech nie leży pod stołem, to by było nieładnie.

- Co masz w prezencie? - zapytałam Simona.

Nie wiedział.

Kolejno uściskaliśmy pannę młodą.

Pan młody był czerwony jak piwonია i dziwnie patrzył na wspaniały półmisek do serów, wybrany przez Carine, który jego żona właśnie rozpakowała. Było to owalne naczynie z uchwyty w kształcie borowików i liśćmi winogron zatopionymi w pleksiglasie.

Nie wyglądał na przekonanego.

Usiedliśmy na końcu stołu, powitani z otwartymi

ramionami przez dwóch wujaszków, którym całkiem dobrze szło.

- Ge-rard! Ge-rard! Ge-rard! Ej, dzieciaki, idźcie po jedzenie dla naszych przyjaciół! Gerard! Gdzie on się podział, na Boga?

Gerard zjawił się ze swoją beczułką i przyjęcie się rozpoczęło.

Po sałatce warzywnej z majonezem podawanej w muszlach, baraninie z rusztu z frytkami z majonezem, kozim serze i trzech porcjach bezy z kremem wszyscy odsunęli się, żeby zrobić miejsce Guy Macroux i jego czarownej orkiestrze.

Byliśmy przeszczeniwi. Słuch wytężony, oczy szeroko otwarte. Po prawej panna młoda z ojcem tańczyli pierwszy taniec w rytm Straussa granego na akordeonie, po lewej wujaszkwie psioczyli okropnie na nowo ustawiony zakaz wjazdu przed piekarnią Pidoune.

Wszystko to było malownicze.

Nie. Może lepiej mniej pobłaźliwie: smakowite.

Guy Macroux wyglądał jak Dario Moreno.

Podkoloryzowany wąsik, płomienna kamizelka, kosztowna biżuteria i aksamitny głos.

Przy pierwszych dźwiękach akordeonu wszyscy wskoczyli na parkiet.

*Ce qui lui va, c'est un p'tit tchatchatcha*  
*Ah!*  
*Ce qui lui faut, c'est un pas de mambo*  
*Oh!*

- I wszyscy razem!

*La la la la... la la la la...*

- Nie słyszę!

*LA LA LA LA... LA LA LA LALA LA...*

- I tam na końcu! Babcie!

Razem z nami, dziewczynki!

*Opidibi poi poi!*

Lola i ja byłyśmy jak spuszczone z łańcucha; musiałam podnieść spódnicę, bo nie nadażałam za rytmem.

Chłopcy, jak zwykle, nie tańczyli. Vincent zagadywał panienkę o mlecznym dekolcie, a Simon słuchał opowieści jakiegoś dziadka o mączniaku.

Potem zaczęto krzyczeć:

- *Podwiązka! Podwiązka! Podwiązka!*

Rozpusta i wulgarność. Młodą żonę zaniesiono na stół do ping-ponga i... hmm... chyba nie warto tego opowiadać. Albo to ja jestem za delikatna.

Wyszłam. Nagle zabrakło mi Paryża.

Lola przyszła do mnie *for ze moonlight cigarette*.

Za nią typek „sklejony włos” (tzn. kropelki potu skrzyły mu się na bujnej czuprynie), któremu bezwzględnie zależało, żeby zaprosić ją z powrotem do tańca.

Hawajska koszula z krótkimi rękawami, spodnie z wiskozy, białe skarpetki w prążek tenisowy i plecione mokasyny.

Oblędny szyk.

I, i, i... omal nie zapomniałam: słynna uprząż z czarnej skóry z kieszeniami na piersiach! Trzy kieszenie z lewej i dwie z prawej. Plus nóż przy pasku. Plus komórka w pokrowcu. Plus kolczyk. Plus sun glassiez. Plus łańcuch przy portfelu. Bez pejczyka.

Indiana Jones we własnej osobie.

- Przedstawisz mnie?

- Yyy... Tak... Więc yyy... Moja siostra Garance i yyy...

- Jużes zapomniała moje imię?

- Yyy... Jean-Pierre?

- Michel.

- Ach tak, tak, Michel! Michel, to Garance, Garance, to Michel...

- Cześć - powiedziałam najpoważniej, jak umiałam.

- Jean-Michel. Mam na imię Jean-Michel... Jean jak Jean i Michel jak góra Saint Michel, ale bez urazy, no już... Cześć! A więc jesteście siostrami? To zabawne, wcale nie jesteście podobne... Czy to pewne, że żadna nie jest listonosza?

Wouarf wouarf wouarf.

Kiedy odszedł, Lola potrząsnęła głową.

- Już nie mogę. Wynałazłam sobie najgrubiej ciosanego w całym kantonie. A jaki delikatny z niego komik... Nawet w Grosses Tetes\* by go nie chcieli... Ten koleś to porażka...

- Cicho, nadciąga.

- Ej, znasz ten dowcip o facecie, co ma pięć pałek?

- Yyy... nie, nie mam tego szczęścia.

- No więc to facet, który ma pięć pałek.

Cisza.

- No i...? - pytam.

- No i slipki ma jak rękawiczkę!

Pomocy.

- A ten o dziwce, która nie robi laski?

- Słucham?

- Wiesz, jak się nazywa dziwkę, która nie robi laski?

\* Audycja radiowa, w której biorą udział goście mający wykazać się poczuciem humoru i umiejętnością szybkiej riposty.

To głównie mina mojej siostry mnie rozśmieszała. Moja siostra, zawsze z klasą, z eleganckimi ciuchami w stylu vintage od Saint Laurenta, resztkami baletu, swoim intaglio i wypiekami na twarzy, kiedy trzeba jeść na papierowym obrusie... Jej osłupienie i oczy wielkie jak spodki z porcelany z Sevres. Coś wspaniałego.

- A więc?
- Niestety, nie. Nabieram wody w usta...  
(Z klasą i zabawnie. Uwielbiam ją).
- No cóż. Jej się nie nazywa. Ha, ha, ha!

Rozkręcił się. Odwrócił się w moją stronę, trzymając kciuki w kieszeniach kamizelki.

- A ty? Znasz ten o kolesiu, który zakłada sobie krążki na małego?
- Nie. I nie mam ochoty, żebyś mi opowiadał, to zbyt obleśne.
- Ach tak? To znasz?
- Ej, Jean-Montsaint-Michel, muszę pogadać z siostrą...
- OK, OK, spadam. Do zo, lalczki!
  
- Już? Poszedł sobie?
- Tak, ale Toto zajmie jego miejsce.
- Kto to Toto?

Nono usiadł na krześle naprzeciwko.

Obserwował nas, drapiąc z przejęciem wnętrze kieszeni spodni.

No dobra.

To pewnie nowy garnitur uwierał go tu i ówdzie...

Święta Lola uśmiechnęła się do niego, żeby nie czuł się skrępowany.

Coś w stylu: Kuku, Nono. To my, twoje nowe przyjaciółki. Witaj w naszych sercach...

- Nadal jesteście dziewczycami? - zapytał.

Zdecydowanie zafiksował się... (Zadziwiasz mnie!).

Siostra Uśmiech nie zmieszała się.

- A więc to pan jest strażnikiem w zamku?

- Ty zamknij się. Mówię do tej z wielkimi cykami.

Wiedziała. Wiedziała, że później będziemy się z tego śmiały. Że pewnego dnia będziemy stare i jako że nie ćwiczyłyśmy na poważnie mięśni krocza, posikamy się, wspominając ten wieczór. Ale teraz... to wcale mnie nie śmieszyło, bo Nono ślinił się po stronie, gdzie nie miał niedopałka, i to było trochę deprymujące. Ta strużka śliny lśniąca w blasku księżycy...

Na szczęście Simon i Vincent przyszli właśnie w tym momencie.

- Zwijamy się?



- Dobry pomysł.
- No to idę poszukać mojej gitary.

*Tout l'amour que j'ai pour touaaaaaaaaaaaaaaaa.....*

*Wap dou oud doua doua... Wap dou oua...*

Głos Guy Macroux rozbrzmiewał w całym miasteczku, a my tańczyliśmy między samochodami.

*Mes criiiiiiiiis de joiaaaaaaaaaa, je te les doiaa*

- Dokąd idziemy?

Vincent okrążył zamek, zapuszczając się w ciemną dróżkę.

- Wypić ostatni kieliszek. Taki *after*, jeśli wolicie... Jesteście zmęczone, dziewczyny?

- A Nono? Idzie za nami?

- Ależ nie... Zapomnij o nim. No więc? Idziecie?

To był obóz Cyganów. Około dwudziestu wozów, jedno dłuższe niż inne, duże białe półciężarówki, pranie, pościel, rowery, dzieciaki, balie, opony, opowieści, telewizory, garnki do wszystkiego, psy, kury, a nawet mała czarna świnka.

Lola była przerażona.

- Już po północy, a dzieci jeszcze nie śpią. Biedne maluchy...

Vincent śmiał się.

- Twoim zdaniem wyglądają na nieszczęśliwe?

Dzieciaki śmiały się, biegały we wszystkie strony. Rzuciły się na Vincenta. Biły się, żeby zabrać mu gitarę, a małe dziewczynki chwytały nas za ręce.

Fascynowały je moje bransoletki.

- Jadą do Saintes-Maries-de-la-Mer... Mam nadzieję, że znikną przed powrotem starej, bo to ja im pozwoliłem się tu rozłożyć.

- Niczym kapitan Haddock w *Klejnotach pani Castafiore*\* - szydził Simon.

Stary Rom wziął go w ramiona.

- Jesteś, synu!

Znalazł sobie rodzinę, ojczulek Vincent... Nic dziwnego, że wzgardził naszą.

Potem było jak w pewnym filmie Kusturicy, zanim zaczął się zadrećcać.

Starzy śpiewali śmiertelnie smutne piosenki, od których flaki się przewracały, młodzi klaskali w dłonie, a kobiety tańczyły wokół ogniska. Prawie wszystkie

\* Tom z serii komiksów Tin Tin.

były grube i wyglądały jak czupiradła, ale kiedy się ruszały, czyniły to z gracją.

Dzieciaki biegały wszędzie, a matki oglądały telewizję, kołysząc noworodki. Niemal wszyscy mieli złote zęby i uśmiechali się szeroko, żeby je zademonstrować.

Vincent czuł się wśród nich wspaniale. Grał, zamykając oczy, trochę bardziej skupiony niż zwykle, żeby utrzymać tonację i dystans.

Starzy mieli paznokcie jak szpony, a ich gitary były wyżłobione w miejscu, gdzie je drapali.

Tdzouing tdzouing, toc.

Nawet nie rozumiejąc nic, nietrudno było odgadnąć słowa...

*O mój kraju, gdzie jesteś? O moja miłości, gdzie jesteś?*

*O mój przyjacielu, gdzie jesteś? O mój synu, gdzie jesteś?*

Ciąg dalszy brzmiał mniej więcej tak:

*Straciłem swój kraj, mam tylko wspomnienia.*

*Straciłem miłość, mam tylko wspomnienia.*

*Straciłem przyjaciela, dla niego śpiewam.*

Jedna ze starszych kobiet częstowała nas rozgazowanym piwem. Ledwo kończyliśmy szklanę, atakowała na nowo.

Oczy Loli błyszczały. Trzymała na kolanach dwie dziewczynki i dotykała brodą ich włosów. Simon patrzył na mnie z uśmiechem.

Nieźłą drogę przebyliśmy od dzisiejszego ranka, my dwoje...

Ups, oto i znowu wesola mamuśka z ciepłym walstarem\*...

Gestem zapytałam Vincenta, czy ma coś do palenia, ale dał mi do zrozumienia, że ciiii, później. Kolejny kontrast, patrzcie... U tych ludzi, którzy nie posyłają dzieci do szkoły, którzy pozwalają małym Mozartom gnić w tych wstrętnych budach, którzy godzą się na nasze prawa pracowitych osiadłych, nie pali się trawy.

Na świętego Merco-Benza, u nas nic z tego.



- Dziewczyny, nie macie innego wyjścia. Musicie spać w łóżku Isaure...

\* Rodzaj piwa.

- W towarzystwie rzeżeń dobiegających ze starych piwnic? Nie, dziękuję.

- Ależ te opowieści to bzdury!

- A tamten świr, który ma klucze? Nie ma mowy. Śpimy z wami!

- OK, OK, nie denerwuj się, Garance...

- Nie denerwuję się! Po prostu jeszcze jestem dziewczicą, wyobraź sobie!

Mimo zmęczenia udało mi się mimo wszystko ich rozśmieszyć. Byłam z siebie dość dumna.

Chłopcy spali pod Serduszkciem, a my pod Huraganem.

Obudził nas Simon, który wrócił z miasta z crois-santami.

- Od Pidoule'a?

- Od Pidoune'a.

Tego dnia Vincent nie otworzył bramy.

*Zamknięte z powodu spadających kamieni* - napisał na kawałku kartonu.

Oprowadził nas po zamkowej kaplicy. Wraz z Nono przenieśli pianino z zamku przed ołtarz i odtąd wszystkie niebieskie anioły mogą sobie swingować do rytmu.

Dane nam było wysłuchać małego koncertu.

Zabawnie było znaleźć się pewnego niedzielnego poranka na kłęczniku. Rozsądni i skupieni, w świetle witraży słuchaliśmy nowej wersji knock, knock, knock on heaven's door...

Lola chciała zwiedzić zamek od piwnic po strych. Poprosiłam Vincenta, żeby zrobił dla nas swój show. Pękaliśmy ze śmiechu.

Wszystko nam pokazał: miejsce, gdzie mieszkała kasztelanowa, jej klejnoty, zniszczone krzesło, sidła na nutrie, przepisy na pasztet z nutrii, butelkę wódki i książkę telefoniczną, tłustą od przekładania kartek. Potem piwniczka, piwnica, przybudówki, siodlarnia, zameczek myśliwski i stary barbakan.

Simon zachwycał się geniuszem architektów i innych ekspertów od fortyfikacji. Lola zbierała zioła.

Siedziałam na kamiennej ławce i obserwowałam całą trójkę.

Moi bracia oparli łokciami o barbakan nad fosą... Simon pewnie żałował, że nie ma ze sobą swojego najnowszego zdalnie sterowanego cudeńka... Ach, gdyby tylko Sesil Dablju tu był... Vincent chyba czytał w jego myślach, bo powiedział:

- Zapomnij o statkach... Tam są monstrualne karpie. Zjadłyby ci je w trzy miga.

- Naprawdę?

Cisza głąskała porosty na balustradach...

- Świetnie, to by było jeszcze zabawniejsze. Muszę tu kiedyś przyjechać z Leo i pozwolić tym wielorybom połknąć zabawki, których nigdy nie mógł dotknąć. To najlepsze, co nam obu mogłoby się przydarzyć.

Nie usłyszałam ciągu dalszego rozmowy, ale widziałam, że przybijają sobie piątkę, jak gdyby ubili świetny interes.

A Lola na kolanach malowała pośród margarytek i pachnącego groszku... Plecy mojej siostry, jej wielki kapelusz, białe motyle, które na nim przysiadły, pędzel we włosach, jej kark, ramiona wychudłe z powodu rozwodu i dół T-shirtu, którym rozcierała kolory. Paleta z białej bawełny, którą powoli pokrywała akwarelami...

Nigdy tak jak teraz nie żałowałam, że nie mam przy sobie aparatu.

Zwalmy to na karb zmęczenia, ale zaskoczyłam sama siebie, chodząc po polu prawoślazu. Poczułam wielkie tchnienie czułości dla tej trójki i zdałam sobie sprawę, że przeżywamy ostatnie okruchy dzieciństwa...

Od prawie trzydziestu lat ci troje sprawiają, że moje życie jest piękne... Czym się stanę bez nich? I kiedy życie w końcu nas rozdzieli?

Bo już tak jest. Bo czas rozdziela tych, którzy się kochają, i nic nie trwa bez końca.

Wszyscy czworo byliśmy świadomi, że to, co tam przeżyaliśmy, to aż zbyt wiele. Zawieszenie, nawias, chwila łaski. Kilka godzin skradzionych innym.

Jak długo jeszcze będziemy mieli energię, żeby w taki sposób wyrwać się z codzienności i zniknąć bez pozwolenia? Ile jeszcze przepustek przyzna nam życie? Ile razy zagra nam na nosie? Ile razy trafi nam się gratka? Kiedy się potracimy i jak rozluźnią się nasze więzy?

Ile jeszcze lat minie, zanim staniemy się starzy?

Wiem, że wszyscy byliśmy tego świadomi. Dobrze nas znam.

Powściągliwość powstrzymywała nas od mówienia o tym, ale w tamtym właśnie momencie naszej drogi wiedzieliśmy o tym.

Wiedzieliśmy, że u stóp tego zrujnowanego zamku przeżywamy kres pewnej epoki i że przepoczwarczenie się zbliża. Że należy pozbyć się tego porozumienia, czułości, trochę szorstkiej miłości. Należy się od tego odciąć. Otworzyć piąstki i wreszcie dorosnąć. Rów-



niez Daltonowie odchodzą każdy w swoją stronę o zachodzie słońca...

Głupia gęś ze mnie, prawie się rozplakałam w samotności, kiedy nagle dostrzegłam coś na końcu drogi...

Co to takiego?

Wstałam, mrużąc oczy.

Zwierzę. Małe stworzenie z trudem zbliżało się do mnie.

Czy było ranne? Co to w ogóle było?

Lis?

Lis z pojemnikiem moczu, wysłany przez Carine?

Zając?

To był pies.

Niewiarygodne.

To był pies, którego widziałam wczoraj z samochodu i który rozmył się w tylnej szybie...

To był pies, którego wzrok uchwyciłam sto kilometrów stąd.

Nie. To nie mógł być on... A jednak...

Ech, chyba wstąpię do Trente Millions d'Amis\*.

Kucnęłam, wyciągając do niego rękę. Nie miał nawet siły machnąć ogonem. Przeszedł jeszcze trzy kroki i padł u moich nóg.

\* Fundacja ochrony zwierząt.

Na kilka sekund zamarłam w bezruchu. Przestraszyłam się. Pies przyszedł umrzeć u moich stóp.

A jednak nie. W końcu pisnął boleśnie, próbując polizać łapę. Krwawił.

Lola podeszła i zapytała:

- Skąd tu ten pies?

Podniosłam głowę i odpowiedziałam słabym głosem:

- Mam zwidy.

Teraz cała nasza czwórka zajęła się opieką nad psem. Vincent poszedł po wodę, Lola szykowała posiłek, a Simon podkradł poduszkę z żółtego saloniku.

Pies pił jak gąbka, aż upadł na ziemię. Zanieśliśmy go w cień.

To jakaś niesamowita historia.

Przygotowaliśmy prowiant na piknik i zeszliśmy nad rzekę.

Na myśl, że pies prawdopodobnie zdechnie, zanim wrócimy, zaciskało mi się gardło. Ale cóż... Wybrał ładne miejsce... I nieźle płaczki...

Chłopcy wstawili butelki między kamienie na brzegu rzeki, podczas gdy my rozkładałyśmy koc. Gdy usiedliśmy, Vincent powiedział:

- Patrz, znowu on...

Pies przywłókł się do mnie. Ułożył się przy moim udzie i natychmiast zasnął.

- Myślę, że on próbuje dać ci coś do zrozumienia - powiedział Simon.

Śmiali się wszyscy troje, nabijając się ze mnie:

- Ej, Garance, nie obrażaj się! On cię po prostu lubi. Ej, Cheese... To nic takiego.

- Ale co ja mam zrobić z tym kundlem?! Wyobrażacie sobie mnie z psem w mojej kawalerce na szóstym piętrze?

- Nie możesz nic na to poradzić - odparła Lola. - Przypomnij sobie, co mówił horoskop. Jesteś we władaniu Wenus w Lwie, więc musisz się poddać. To ważne spotkanie, na które miałaś się przygotować. Przecież cię ostrzegałam...

Kpili sobie w najlepsze.

- Spójrz na to jak na znak losu - radził Simon. - Ten pies przybył, żeby cię uratować...

- ...żebyś wiodła zdrowsze życie, bardziej zrównoważone - tłumaczyła Lola.

- ...żebyś wstawiała rano wyprowadzić go na siusiu - dodał Simon. - Żebyś kupiła sobie dres i wyjeżdżała co weekend za miasto.

- Żebyś przestrzegąła określonych godzin, żebyś się czuła odpowiedzialna - zaopiniował Vincent.

Poczułam się załamana.

- Tylko nie jogging, cholera!

Vincent, otwierając butelkę, powiedział w końcu:

- Poza tym on jest uroczy...

Kurczę, to prawda. W opłakanym stanie: wyłysiały, zapchlony, cały w strupach, zwykły kundel i obdarcia, ale... uroczy.

- Po tym wszystkim, czego dokonał, nie miałabyś przecież serca go zostawić, mam nadzieję.

Nachyliłam się nad psem. Trochę śmierdział, nie da się ukryć...

- Oddasz go do SPA\*?

- Co...? Dlaczego ja? Znaleźliśmy go razem, chciałabym zauważyć!

- Patrz! - wykrzyknęła Lola. - Uśmiecha się do ciebie!

Fakt. To prawda. Odwrócił się i leniwie machał ogonem, wznosząc oczy w moim kierunku.

Och... Dlaczego? Dlaczego ja? Czy on zmieści się w koszyku roweru? A konsjerżka, która i tak miała już pretensje...?

Co to je?

Ile to żyje?

Siateczka do zbierania odchodów. Smycz samoblokująca, debilne rozmowy z sąsiadami, którzy wychodzą podnieść łapę po filmie.

\* Societe Protectrice des Animaux - Towarzystwo Ochrony Zwierząt.

Boże.

Bourgueil był orzeźwiający. Rozłożyliśmy mięso na zimno, wgrzyliśmy się w kanapki z wieprzowiną, grube jak pierzyny, smakowaliśmy słodkie ciepłe pomidory, piramidki z koziego sera i gruszki z sadu.

Było nam dobrze. Słyszeliśmy chłopot wody, szum wiatru w koronach drzew i ptasie rozmowy. Słońce igrało na falach rzeki, promienie wdzierały się to tu, to tam, wypływały na powierzchnię, przebijały chmury i ślizgały się po wodzie. Mój pies śnił o chodniku panamskim, pomrukując ze szczęścia, a nam przeszkadzały muchy.

Rozmawialiśmy o tym samym, co w wieku lat dziesięciu, piętnastu czy dwudziestu, czyli o książkach, które przeczytaliśmy, o filmach, które obejrzeliliśmy, o muzyce, której słuchaliśmy, i o stronach internetowych, które odkryliśmy. O Gallice\*, o wszystkich skarbach w sieci, o muzykach, którzy nas zadziwili, o biletach na pociąg, o koncertach i wymówkach, którymi chętnie byśmy się posłużyli, o wykładach, które oczywiście opuścimy, o naszych przyjaciółach, o przyjaciółach naszych przyjaciół i o romansach, które nam się przytrafiły bądź nie. Często jednak nie i tylko

\* Cyfrowy oddział Francuskiej Biblioteki Narodowej.

w tym byliśmy najlepsi. W opowiadaniu o nich, mam na myśli. Rozłożeni w trawie, napastowani i podgryzani przez wszelkiego rodzaju małe stworzonka, śmiałyśmy się sami z siebie, wybuchając zwariowanym chichotem i łapiąc promienie słońca.

A potem rozmawialiśmy o naszych rodzicach. Jak zwykle. O mamie i o Popie. O ich nowym życiu. O ich miłościach i o naszej przyszłości. Słowem, o wszystkich tych drobiazgach i ludziach, którzy wypełniają nasze życie.

To nic wielkiego ani wielki świat, a jednak... bezkres.

Simon i Lola opowiedzieli nam o swoich dzieciach. O ich postępach, głupotach i zdaniach, które powinni zanotować, zanim je zapomnieli. Vincent długo mówił o swojej muzyce. Czy należy kontynuować granie? Gdzie? Jak? Z kim? Z nadzieją na co? Powiedziałam im o nowym wykładzie, do którego miałam notatki, o mojej pracy, o trudnościach z postrzeganiem siebie jako dobrego przyszłego sędziego. Tyle lat nauki i tak mało pewności siebie, to dołujące.

Czy poszłam w dobrą stronę? Gdzie się coś schryzło? Czy ktoś gdzieś na mnie czeka? Cała trójka dodawała mi otuchy; potrząsnęli mną trochę. Udałam, że zgadzam się z tym, co mówią.

Tak w ogóle to wszyscy potrząsnęliśmy sobą nawzajem i udawaliśmy, że jesteśmy zgodni.

Bo przecież życie to trochę blef, czyż nie?

Przykrótki dywan i brakujące żetony. Zbyt słabe lewe, żeby można było zostać w grze. Wszyscy czworo byliśmy co do tego zgodni. Nasze wielkie marzenia i czynsze do zapłacenia piątego każdego miesiąca...

Dlatego otworzyliśmy kolejną butelkę. Żeby dodać sobie odwagi!

Vincent rozśmieszył nas opowieścią o swoich ostatnich rozczarowaniach miłosnych.

- Postawcie się na moim miejscu! Dziewczyna, za którą chodzę od dwóch miesięcy, na którą czekam sześć godzin przed jej wydziałem, którą trzy razy zabieram do knajpy, którą dwadzieścia razy odprowadzam do domu w Tataouine-les-Bains i którą zapraszam do opery za sto dziesięć za miejsce! Cholera!

- I nic się jeszcze między wami nie wydarzyło?

- Nic. Nada. Nul. No cholera, mimo wszystko! Dwieście dwadzieścia euro! Wyobrażacie sobie, ile płyt mógłbym za to kupić?

- No tak, facet, który prowadzi takie żalosne obliczenia... Rozumiem ją - ironizowała Lola.

- A... a próbowałeś ją pocałować? - zapytałam niewinnie.

- Nie. Nie miałem odwagi. I to jest beznadziejne.

Żarty starszych sióstr.

- Wiem. Jestem nieśmiały, to głupie...

- Jak ona ma na imię?

- Eva.  
- Jakiej jest narodowości?  
- Nie wiem. Mówiła, ale nie zrozumiałem...  
- Hmm... Ale mimo wszystko sądzisz, że masz zielone światło?

- Trudno powiedzieć. Ale pokazała mi zdjęcia swojej matki...

Zbyt wiele. Tego już zbyt wiele.

Turlaliśmy się po trawie, podczas gdy nasz Don Juan opowiadał o tym, jak spudłował.

- Och...! Dasz mi go? - poprosiłam błagalnie.

Lola wyrwała stronę ze swojego szkicownika i podała mi ją, wznosząc oczy do nieba.

Umiała dostrzec wielką szlachetność mojego heroicznego teriera, leżącego bez sił na słońcu. Jedyny samiec, który jak o tym pomyślę, siedł za mną z takim uporem...

Następny rysunek był bardzo ładnym widokiem zamku.

- Razem z ogrodem angielskim - sprecyzował Vincent.

- Powinniśmy go wysłać tatkowi i napisać mu słówko - powiedziała Lola.

(Nasz tatko nie miał komórki. Co więcej, nie miał też nigdy telefonu stacjonarnego...).

Tak jak wszystkie inne i zawsze, był to dobry pomysł. I jak zawsze, i na wieki, schowaliśmy się za



białym pióropuszem najstarszego spośród nas. Prawie jak z tyłu autokaru podczas powrotu z kolonii. Kartka i długopis wędrowały z rąk do rąk. Myśli, powitania, czułości, głupoty, serduszka i wielkie buziaki.

Problem - ale to nie wina naszego tatka, tylko maja 1968 - był taki, że nie wiedzieliśmy, dokąd wysłać nasz list.

- Sądzę, że jest w stoczni w Brighton.

- Wcale nie - zażartował Vincent. - Tam jest zbyt zimno! Przecież tatuś ma reumatyzm! Jest w Walencji z Richardem Lodge'em.

- Jesteś pewien? - zdziwiłam się. - Ostatnim razem, kiedy miałam z nim kontakt, wybierał się do Marsylii...

- OK - przerwała Lola. - Schowam kartkę do torby, a ten, kto pierwszy wpadnie na trop, da mi znać.

Cisza.

Vincent zaintonował kilka akordów, żebyśmy jej nie słyszeli.

Do torby...

Te wszystkie buziaki, które dusiliśmy w sobie. Te wszystkie serca zamknięte z kluczami i kartami bankowymi.

Na szczęście miałam swojego psa! Zapchlonego i starannie wylizującego sobie jądra.

- Dlaczego się uśmiechasz, Garance? - zapytał Simon, żeby zagłuszyć bluesa.

- Nic. Po prostu mam wiele szczęścia...

Moja siostra z powrotem wyjęła kredki, chłopcy poszli się kąpać, a ja obserwowałam moje maleństwo, które wracało do życia, w miarę jak dawałam mu kawałki chleba z wieprzowiną.

Chleb wypluwał. Kanalia.

- Jak go nazwiesz?

- Nie wiem.

To Lola dała sygnał do odjazdu. Nie chciała się spóźnić, bo miała odebrać dzieci. Już czuliśmy, że jest podenerwowana. Więcej niż podenerwowana - niepokojna, krucha, krzywo się uśmiechająca.

Vincent oddał mi iPoda, którego przetrzymywał miesiącami.

- Masz, dawno obiecałem ci tę składankę.

- O, dzięki! Wrzuciłeś wszystko, co lubię?

- Nie. Nie wszystko, oczywiście. Ale zobaczysz, jest dobra...

Uściskaliśmy Vincenta, rzucając przy tym idiotyczne komentarze, żeby mieć to za sobą jak najszybciej, i wsiedliśmy do samochodu. Simon zwolnił dopiero po przejechaniu fosi. Wychyliłam się przez okno, krzycząc:

- Hej! Serduszko!
- Co?
- Ja też mam dla ciebie prezent!
- Co to takiego?
- Eva.
- Co Eva?
- Przyjeżdża pojutrze autobusem z Tours.  
Podbiegł do samochodu.
- Co to za bzdury...?
- To nie są bzdury. Dzwoniliśmy do niej, kiedy się kąpałeś.
- Kłamczuchy... (Był biały jak ściana.) Skąd miałyście jej numer?
- Zajrzałyśmy do twojej komórki...
- To nieprawda.
- Masz rację. Nieprawda. Ale na wszelki wypadek idź na przystanek autobusowy.  
Teraz był czerwony.
- Co jej naopowiadałyście?
- Że mieszkasz w wielkim zamku i że skomponowałeś dla niej cudowną solówkę, i że musi ją usłyszeć, bo zagrasz jej w kaplicy, i że to będzie superromantycznie...
- Co?
- To serbsko-chorwacki.
- Nie wierzę wam.
- Tym gorzej dla ciebie. Nono się nią zajmie...
- To prawda, Simonie?

- Nic nie wiem, ale o ile znam te dwie harpie, wszystko jest możliwe...

Był różowy.

- Serio? Przyjeżdża pojutrze?

Simon ruszył.

- Autokarem o osiemnastej czterdzieści! - sprecyzowała Lola.

- Naprzeciwko Pidoula! - wrzasnęłam nad jej ramieniem.

Kiedy zupełnie zniknął ze wstecznego lusterka, Simon odezwał się:

- Garance?

- Co?

- PidouNa.

- A, pardon. Patrz, to ten świr... Rozjedź go!

Czekaliśmy aż do autostrady, żeby posłuchać składowki od Vincenta.

Lola w końcu postanowiła spytać Simona, czy jest szczęśliwy.

- Pytasz mnie o to z powodu Carine?

- Trochę...

- Wiecie... W domu jest o wiele miłsza. To przy

was staje się taka przykra. Myślę, że jest zazdrosna... Boi się was. Myśli, że kocham was bardziej niż ją i... że jesteście tym wszystkim, czym ona nie jest. Wasze żarty wytrącają ją z równowagi. Wasz styl bycia a la mademoiselles de Rochefort\*... Myślę, że ma kompleksy. Odnosi wrażenie, że dla was życie jest jak duża przerwa w szkole i że ciągle jesteście lubianymi licealistkami, które kiedyś ją gnębiły, bo była najlepszą uczennicą w klasie. Tymi pięknymi, nierozłącznymi, wesołymi i podziwianymi w sekrecie dziewczynkami.

- Gdyby wiedziała... - szepnęła Lola, opierając się o szybę.

- Ale nie wie. Przy was czuje się niepewnie. To prawda, że czasami jest nie do zniesienia, ale na szczęście ją mam... Dodaje mi energii, popycha do przodu, każe mi działać. Bez niej nadal bym tkwił w swoich zakrętach i niewiadomych, to pewne. Bez niej byłbym jak pokojówka wobec mechaniki kwantowej!

Zamilkł.

- No, a poza tym dała mi dwa piękne prezenty...

Gdy tylko minęliśmy budkę przy wjeździe na autostradę, wetknęłam sticka do radia samochodowego.

A więc, mój chłopcze... Co ty tu wymodziłeś?

Uśmiechy pełne zaufania. Simon pociągnął swój

\* Nierozłączne siostry bliźniaczki z filmu Jacques'a Demy.

pas, żeby zrobić miejsce wykonawcom, Lola odłożyła notatnik, a ja przytuliłam się do jej ramienia.

Marvin i Monsieur Loyal: *Here my Dear... This album is dedicated to you...* Dzika, rozluźniająca stawy wersja *Pata Pata* Miriam Makeby, *Hungry Heart* Bossa, który piętnaście lat temu wprawiał nasze tyłki w ruch, a także *The River*, żeby nasycić zgłodniałe serca. *Friday Fm in Love* zespołu de Cure, żeby - przepraszam, przyciszę - powitać ten piękny weekend, *Common People* zespołu Pulp, piosenka, która nauczyła nas angielskiego lepiej niż wszyscy nauczyciele razem wzięci. Łagodna wersja *I Will Survive* Musica Nuda i pięknieta *My Funny Valentine* w wykonaniu Angeli McCluskey. Również w jej wykonaniu *Don t Explain*, która każe ryczeć z powodu najniegodziwszego podrywacza... Christophe'a w satynowej kamizelce, *c'etait la dolce vita...* Skrzypce Yo-Yo Ma dla Ennio Morricone i jego jezuitów i Dylan, który powtarza z ochotą *I want you* dwom siostrom prawie dziewczicom. *Love me or leave me* - zaklina Nina Simone, kiedy zauważam, że Lola pociera nos. Vincent nie lubi oglądać swojej siostry smutnej, więc nagrywa dla równowagi pieszczalki Goldmana, żeby ją uspokoić... *Ainsifait l'amour et Von n'y peut rien...* Montand przypomina o Paulette\*, a Björk krzyczy, że jest

\* Bohaterka książki A. Gavaldy *Po prostu razem*.

zbyt cicho. *Nisi Dominus* Vivaldiego dla Camille i piosenka Neila Hannona, którą tak lubiła Mathilde\*. Łagodna piosenka Henriego Salvadora, ta sama, którą śpiewała nam mama i której słuchaliśmy przed zaśnięciem, ssąc kciuki. Dalida *U venait d'avoir dix-huit ans, il etait bóóó comme un enfant...* Ścieżka dźwiękowa z *Pas sur la bouche*, filmu, który ocalił mi życie, kiedy już go nie chciałam. Mała wstawka meteo, *d la pluie de Nantes* Barbary, Luis Mariano jodłujący swoje *soleil de Mexico*, Pyeng Threadgill powtarzający *Close to me*, i już wiem, że o to chodzi, moi drodzy... Elegancja Cole Portera wysublimowana przez Ellę Fitzgerald i Cindy Lauper dla kontrastu. *Oh daddy! les filles, elles just wanna to have fun!* - drę się, potrząsając psem jak pomponem cheerleaderki, gdy wszystkie pchły tańczą macarenę.

I wiele innych... Mnóstwo megaoktetów szczęścia.

Mrugnięcia okiem, wspomnienia, stracone słowa, przypominające o nieudanych wieczorach, *mjuk los maj ferst low* (tylko dla koneserów), klezmer, chorały gregoriańskie, fanfary i organy, aż nagle, podczas gdy samochód się zataczał, a pompa szalała, Ferre i Aragon zdziwili się: *Est-ce ainsi que les hommes vivent?* - Czy właśnie tak żyją ludzie?

Im więcej pojawiało się tytułów, tym większą trud-

\* Bohaterka książki A. Gavaldy *Pocieszenie*.

ność sprawiało mi powstrzymanie łez. OK, zgoda, powtarzam, byłam zmęczona, ale czułam w gardle rosnącą kulę.

Zbyt wiele emocji naraz. Mój Simon, moja Lola, mój Vincent, mój Mamzwidek na kolanach, i wszyscy wykonawcy, którzy pomagali mi żyć od tak dawna...

Musiałam się wysmarkać.

Kiedy muzyka umilkła, myślałam, że będzie lepiej, ale ten podły Vincent zaczął teraz mówić:

„Voila. To już koniec, moja Rance. Hm... yyy... Mam nadzieję, że o niczym nie zapomniałem... Czekaj, owszem, jeszcze jeden na drogę...”.

Cover *Hallelujah* Leonarda Cohena w wykonaniu Jeffa Buckleya.

Przy pierwszych dźwiękach gitary przygryzłam wargi i wbiłam wzrok w dach, połykając łzy.

Simon zmienił położenie lusterka, żeby na mnie spojrzeć.

- Wszystko OK? Jesteś smutna?

- Nie - odpowiedziałam, rozsypując się całkowicie. - Jestem sup... superszczęśliwa.



Resztę podróży spędziliśmy, nie zamieniwszy ani słowa. Wyświetlaliśmy sobie w głowach minione zdarzenia i rozmyślaliśmy o jutrze.

Koniec dużej przerwy. Zaraz usłyszymy dzwonek. W dwuszeregu zbiórka.

Cisza! Cisza, mówię!

Wysadziliśmy Lolę przy Porte d'Orleans, a mnie Simon odwiózł aż pod dom.

Kiedy już miał odjeżdżać, położyłam mu rękę na ramieniu.

- Poczekaj, za dwie minuty będę z powrotem.

Pobiegłam do Monsieur Rachida.

- Trzymaj - powiedziałam, podając bratu paczkę ryżu. - Nie zapomnij o zakupach mimo wszystko...

Uśmiechnął się.

Długo mi machał, a kiedy zniknął za rogiem, poszłam do mojego ulubionego sklepu po chrupki i karmę dla psa.

- Garance, ostrzegam cię, jeśli twój pies jeszcze raz nasika na moje oberżyny, jego też wydepiluję!